EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 marca 1937 r. Rok IV, Nr. 6 (85)

Treść numeru:

Słońce Jagiellonów

Gdy mówimy o sile i uroku Polski, o jej legitymacji do roli historycznej; o najdalszym zamachu jej miecza i pługa, o dorobku, który sprawił, że, jako Polacy, czujemy się synami wielkiego narodu; gdy mówimy o tym wszystkim co miał na myśli Wyspiański, pisząc, że *Polska to jest wielka rzecz;* o tym, na co nas dziejowo stać w obliczu świata; o tym, czym byliśmy i czym być jeszcze możemy: cóż staje wtenczas przed naszymi oczami?

Polska Jagiellonów!

Dwieście lat pracy i walki, wielką opromienionych myślą polityczną; rozrost oddechu od morza do morza; pęd geniusza twórczego od Grzegorza z Sanoka do Kopernika, od Reya do Kochanowskiego, od Unii Krewskiej do Unii Lubelskiej, od chrztu Litwy do wolności religijnej, od Grunwaldu do zwycięskich bojów z Moskwą Iwana Groźnego, od gospodarki w dorzeczu Wisły i (częściowo) Odry do gospodarki na olbrzymich obszarach środkowo - wschodniej Europy... Sześć lub siedem pokoleń, luzujących się na widowni historycznej, cztery lub pięć generacyj dynastów, biorących po kolei berło rządzenia; ścisła a ciągła współpraca idei kierowniczej, uosobionej w sternikach nawy państwowej, z żywymi, postępowymi siłami społeczeństwa: oto, co Polskę „podciągnęło wzwyż", co jej pozwoliło rozwinąć się między Wschodem a Zachodem, co ją wyniosło — na przestrzeni tych lat dwustu — ku wyżynom rozkwitu w zakresie potęgi zarówno mocarstwowej, jak kulturalnej.

Jeśli naród nasz po utracie niepodległości nie upadł, jeśli w niewoli zachował dumę a w cierpieniach majestat; jeśli nigdy nie pogodził się z jarzmem; jeśli kraty więzienne targał z Łukasińskim, a w końcu wybił się na wolność w Piłsudskim; jeśli w snach swoich poetów pozostał królem - duchem i duchem - wiecznym rewolucjonistą, to — dzięki temu, że mógł oprzeć się o własną wspaniałą tradycję, o skarb niepożyty: o polityczne i kulturalne dziedzictwo Polski Jagiellońskiej. Tak. Jeśli nie zgniliśmy w niewoli, to dzięki temu, że niegdyś, przez lat dwieście, świeciło nam słońce Jagiellonów.

I rzecz znamienna; o bogactwie ducha polskiego, utajonym w tej złotej erze naszych dziejów, artyści i wieszczowie nasi — Słowacki, Matejko, Wyspiański — wiedzieli więcej, niż uczeni i działacze polityczni: stamtąd brali do swych obrazów i na swe struny śpiż, purpurę i światło, do płuc swoich —

wicher natchnienia. Czy czuli podświadomie, gdzie szukać trzeba odsieczy przeciw siłom przemocy i pokusom słabości? Czy echa minionej potęgi żywiołowo odzywały się w tych, którzy byli jej spadkobiercami z ducha? Niedarmo autor „Wesela" w postaci jagiełłowego rycerza Grunwaldu zaklął polską pobudkę wojskową w przededniu wojny światowej, niedarmo pobudka ta w piersi Piłsudskiego zagrała czynami zwycięskiego oręża; i niedarmo w orbicie czynów tych odżyły i przez chwilę splotły się nanowo prastare hasła i szlaki jagiellońskie: Kraków, Poznań i Wilno, Mińsk i Dynaburg, Warszawa i Gdańsk, Lwów i Kijów.

Było w dobie jagiellońskiej coś, co brało ludy ze sobą, porywając je prądem wspólnego dążenia; co jednoczyło różnojęzycznych obywateli państwa w pochodzie ku powszechnie zrozumiałym celom; co ich skupiało w całość nie zewnętrzną obręczą ucisku, ale siłą dośrodkowej spójni wewnętrznej; co pozwalało róść temu mocarstwu wszerz i wzdłuż, nie tłumiąc żadnej twórczej indywidualności, a wszystkim otwierając pole rozwoju. To „coś" to jest właśnie tajemnica owej wiekowej ery; tajemnica, zawarta między Polską a Litwą, między dynastią a państwem i kościołem, między królem a obywatelem, między możnowładztwem a szlachtą, między interesami dnia a imperatywem przyszłości.

Tę tajemnicę mocarstwowej i cywilizacyjnej „prosperity" polskiej z przed lat niemal pół tysiąca przeczuwaliśmy raczej, wraz z poetami, niż zdawaliśmy sobie z niej sprawę krytycznie na podstawie właściwych badań naukowych. Cóż dziwnego, że im więcej odgadywaliśmy, błądząc po omacku, tym bardziej wzmagał się w nas głód wiedzy rzeczowej i dokładnie sprawdzonej.

I oto, jakgdyby odpowiadając na głos zbiorowej potrzeby, ukazało się dzieło historyczne, które wybitne, a nawet niepospolite zajmie miejsce w ogólnym dorobku naszego dziejopisarstwa, w historiografiii zaś, dotyczącej doby jagiellońskiej, stanie się bez wątpienia pozycją wręcz podstawową. Mam na myśli świeżo ogłoszoną monografię prof. Ludwika Kolankowskiego p. n. „Polska Jagiellonów. — Dzieje polityczne".*) Jeśli o monografii tej mówię, jako o pracy fundamentalnej, to rzecz prosta, nie znaczy to, aby Autor jej, podejmując swe badania na gruncie Polski Jagiellońskiej, wkraczał na grunt nieuprawiony i dziewiczy. Przecież, żadna — rzec można — epoka nie przyciągała tylu różnych badaczy, co ta właśnie, zagajona i uświęcona ślubami Jadwigi i Jagiełły.

Wśród badaczy tych nie brakło najpoważniejszych, jak Szajnocha, Balzer, Papée, Kutrzeba, Halecki. Ten ostatni, obok szeregu studiów mniej lub więcej cennych dał, jeśli nie gruntowną, to pracowicie wykonaną książkę o Unii Jagiellońskiej. Długi poczet dzieł, głośnymi uświetnionych nazwiskami, sprawiał wrażenie, że temat doby jagiellońskiej jest wyczerpany, że w każdym razie, na temat ten nie łatwo jest coś nowego napisać. Kolankowski dziełem swoim pokazuje, że nie polemizując z poprzednikami, można było prace ich wyprzedzić i odsunąć w cień samą postawą myśli świeżej i niezależnej, która, sięgając po nowe, nieznane materiały, umiała jednocześnie na nowo przetrawić i oświetlić to, co było znane.

Oryginalność i samodzielność sądu, nie lękająca się nowatorstwa a śmiało idąca na rewizjonizm tam, gdzie przeoranie a częstokroć i odwrócenie ustalonych poglądów jest niezbędne, to — istotnie — znamienna cecha umysłowości naszego Autora. Wszystko na czym spoczęło jego wytrawne oko, wyzwala się z szablonowych obsłon rutyny, choćby najczcigodniejszej, i odsłania treść wewnętrzną, pełną oryginalnej, bogatej wymowy. Ani jedna z dziejowych postaci ery jagiellońskiej — czy to będzie sam prarodzic dynastii, król Władysław, czy stryjeczny brat jego Witold Kiejstutowicz, królowa Bona lub królowa Barbara, kardynał Oleśnicki lub hetman Tarnowski, czy wreszcie Zygmunt August, ostatni dynasta, zamykający ten prześwietny okres — żadna, powtarzam, z tych postaci nie została przez Kolankowskiego przyjęta na wiarę dawnych kronikarzy i historyków. Wszystkie w promieniu jego badań odrodziły się na nowo. Wszystkie stanęły w nowych kształtach i w odmienionych proporcjach.

W tych nowych proporcjach rozrósł się, zaraz na wstępie, do miary wręcz tytanicznej, wybujawszy geniuszem nad całą swą epokę, pierwszy z Jagiellonów, król Władysław: postać o przełomowym znaczeniu w dziejach Polski i Litwy. Epilog, który nasz historyk poświęcił Jagielle, streszczając zasługi tego króla, godny jest epilogu, wieńczącego żywot Juliusza Cezara. W wielkim rodzie, z którego w ciągu lat dwustu wyszło od Giedymina, Olgierda, Kiejstuta począwszy, na Zygmuncie Auguście skończywszy, tyle lotnych umysłów i wielkich serc, król Władysław Jogiełło był — zdaniem Kolankowskiego — najbardziej twórczym. On — jak wylicza Autor — zniósł prawo dynastyczne Gedyminowiczów; on dał Litwie pierwszą w całym tego słowa znaczeniu deklarację wolnego człowieka; on związał Litwę z Królestwem Polskim; on przez rozbicie Zakonu pierwszy otworzył przed nami Bałtyk; on ustalił byt litewskiego ludu i wprowadził go w obręb kultury rzymskiej pod; jego auspicjami i w ramach przezeń stworzonych żyła Ruś wschodnia i Czarnomorze. Z jego imieniem złączyło się na zawsze przejście Polski z bierności politycznej i duchowej do roli czynnej na obu polach. On, słowem, dał nowe, realne podwaliny naszej przyszłości państwowej i narodowej.

Jakże odmienne od piastowskich powstały odtąd warunki przestrzenne i etniczne, jakże różna ilość i jakość ziemi, a w ślad za tym liczba i jakość ludzi!... Do jednolitego niemal dotychczas narodu Polski piastowskiej wchodzi obecnie narodów kilka: Polacy, Litwini, Rusini, Białorusini, obok pomniejszych grup Niemców, Tatarów, Ormian, Wołochów, Żydów..."

To splecenie różnych narodów i wyznań w kolisku wspólnej doli stanie się odtąd naczelnym dziejów polskich znamieniem. Mogło się ono stać zarodem waśni a nawet wojny domowej. Geniuszowi Jagiellonów zawdzięczamy, że stało się współżyciem we współpracy i współobronie, w rozkwicie wolności i braterstwa.. Dopóki nie zajdzie słońce tej renesansowej dynastii, póty Polska nie zazna stosów inkwizycji, walk religijnych i konfliktów narodowościowych. Nikt nie będzie śmiał wytykać hetmanowi Ostrogskiemu, że jest schizmatyikem, lub pytać o wyznanie Abrahama Ezofowicza, który za rządów

*) Lwów. Skład główny w księgarni Gubrynowicza i syna.

Zygmuntowskich zasłynął jako znakomity mąż stanu i obrotny podskarbi litewski. Współpraca różnych wyznań i narodowości, wzajemne ich na siebie oddziaływanie w rytmie życiowym wspólnej państwowości wytworzyło, nieznany przed tym, typ obywatela nowej Rzeczypospolitej, będący końcowym produktem polityki i cywilizacji jagiellońskiej: typ, jak słusznie podkreślił Kolankowski, niezmiernie efektowny — a jabym dodał bujny i wydajny — pod względem państwowym i kulturalnym.

Z takich wychodząc stwierdzeń, można powiedzieć, że epoka jagiellońska, jakkolwiek skończona i zamknięta jest w czasie, jako rozdział w historii, trwa i żyje w zasadzie, trwa i żyje w idei. Wniosła ona bowiem do dziejów polskich pierwiastki, które odtąd już nie miały zaginąć; pierwiastki — rzekłbym — nieśmiertelne; ziarna, które więdnąć mogą w czasach saskich, w czasach Targowicy, w opętaniach nacjonalizmu i rasizmu, ale odkwitają i tryumfują zawsze, ilekroć polskość szerzej rozpostrze skrzydła i wyżej skieruje lot swego ducha. Bez puścizny i bez idei jagiellońskiej nie mielibyśmy Mickiewicza i Słowackiego. Bez tradycji jagiellońskiej nie miałby czym odetchnąć w Polsce młody Józef Piłsudski i Montwiłł-Mirecki.

Gdybyśmy monografię Kolankowskiego rozpatrywali wyłącznie pod kątem materiałów archiwalnych, jakie po części sam odkrył, po części już istniejące nowymi odczytał oczami (przezwyciężając bałamutną a złowrogą sugestię kanonika krakowskiego, Długosza) i nową przemierzył myślą i gdybyśmy oceniali ją tylko jako wynik rozszerzonej podstawy źródłowej i głębszego przemyślenia zagadnień, to już wtedy wypadałoby ją uznać za rzecz kapitalną w naszej literaturze historiograficznej. Ale Kolankowski dał nie tylko fakty oraz ich oświetlenie. Dał on nową koncepcję rozległego okresu.

W ramach tej koncepcji poraz pierwszy otrzymujemy przejmujący — jakże dramatyczny! — obraz ewolucji, której ulegała idea królewska w państwie polsko-litewskim, poczynając od monarchii dziedzicznej w osobie Jagiełły a kończąc na monarchii elekcyjnej, przyjętej w akcie Unii Lubelskiej za Zygmunta Augusta. W ramach tejże koncepcji — również po raz pierwszy — otrzymujemy wnikliwy i głęboki wgląd w ewolucję stosunków klasowo-społecznych Polski i Litwy na przełomie XV i XVI wieków.

Wśród wielkich czynów żywota Jagiełły — słusznie podkreśla Kolankowski — nie najmniejszym była praca nad stworzeniem z Polski, połączonej z Litwą, monarchii dziedzicznej. Czyż trzeba dowodzić, że taki właśnie ustrój odpowiadał najlepiej dynamice młodego mocarstwa w owym przełomowym wieku, gdy również inne kraje — Francja, Anglia, Szwecja, Austria, Moskwa — skupiały się i jednoczyły pod rządami swych dynastów? Wcielając Wielkie Księstwo Litewskie w skład Korony Polskiej, Jagiełło istotnie tworzył z obu narodów królestwo jednolite, dziedziczne w swoim rodzie. Jednolitość ta — tak zbawienna już w swych bezpośrednich efektach — niestety, nie dała się długo utrzymać. Rozbiła się już za życia Jagiełły o stanowy opór panów koronnych, dążących — wbrew oczywistemu interesowi państwa — do swobodnego dysponowania tronem krakowskim. Wśród ciężkiego konfliktu, który na tym tle nastąpił, król, dla ratowania uprawnień swego domu, zmuszony był z powrotem wydzielić Litwę ze składu Królestwa Polski. Jedność państwowa — w drodze kompromisu, który różne przechodził koleje — rozszczepiła się na dualizm pod sterem wspólnej monarchii jagiellońskiej, dziedzicznej na Litwie, elekcyjnej w Polsce. Dualizm ten trwać miał aż do połowy wieku XVI, gdy Zygmunt August, ostatni z rodu, schodząc bezpotomnie, nie widział racji dynastycznej do dalszej walki o dziedziczność, liczyć się natomiast musiał z racją stanu, domagającą się najściślejszej obu narodów unii, aby solidarnymi siłami stawić czoło coraz groźniejszym niebezpieczeństwom zewnętrznym, zwłaszcza rosnącemu naporowi Moskwy.

Zaprzepaszczeniu uległa idea korony dziedzicznej, tron polski odtąd, po śmierci każdego króla, stać się miał przedmiotem licytacji na międzynarodowym targowisku, ale ocalała i na długi czas próbę wytrzymała jedność polsko-litewskiego pożycia. Dźwignią tej jedności były teraz już nie tylko wyrobione warstwy ziemiańskie polskie, ale także szerokie rzesze ziemian litewskich, przychodzące do głosu w imię parlamentaryzmu i demokracji szlacheckiej. Wzrastająca w siłę warstwa szlachecka to — podstawa a zarazem i narzędzie polityki jagiellońskiej, która już w osobie króla Kazimierza sprzymierzyła się z tym bujnym, młodym żywiołem, widząc w nim pożądaną ostoję w walce z duchownym i świeckim możnowładztwem.

Rozrost licznej, prężnej, niewyżytej klasy, przeciwstawiającej się starym rodom magnackim, był doniosłą na owe czasy zdobyczą demokratyzacji i modernizacji państwa, był czynnikiem jego postępu, bazą jego wzmożonej potęgi. **Tu, u źródeł tej nowej , zdobywczej klasy społecznej, biło istotne źróło potęgi Jagiellonów.** Ponieważ zaś śladem nowych walorów społeczno-politycznych idzie nowy obyczaj, nowa kultura, nowy styl życia, więc Kolankowski nie omieszka zanotować (mimochodem, lecz w porę), że Zygmunt August, gdy zasadniczo zwróci się ku obozowi szlacheckiemu, da temu również wyraz zewnętrzny, ubierając cały swój dwór w stroje „świetlikowe". Styl szlachty staje się stylem państwa.

Niestety, szlachta, umocniwszy się w siodle władzy, zdradzi niebawem tron, który ją wspomagał w walce z oligarchią, i miast być podporą królów, stanie się klientelą — królewiąt. Co gorsza, zniszczy moralnie i materialnie chłopa a jednocześnie drogę rozwoju zagrodzi mieszczaństwu. Wypadłszy z rytmu dziejów i miecz wypuściwszy z ręki, pozwoli szkołom jezuickim ogłupiać się aż do samozatraty, na półtora wieku utonie w nieróbstwie i pijaństwie, nim, spowodowawszy ruinę Rzeczypospolitej, obudzi się z pijanego snu na jej gruzach...

Myśl naszego historiografa, rozkochana w słońcu Jagiellonów, nie sięga i nie próbuje sięgać w zmierzch i mrok, który po jego zachodzie jął się, zrazu powoli, a potym coraz szybciej szerzyć nad Polską. Kolankowski jest historykiem naszej potęgi. Nie chce być historykiem polskiej martwoty. Ale pokazawszy — na przestrzeni lat dwustu — źródło i czynniki naszej narodowej i państwowej siły, pozwala lepiej, głębiej i rzetelniej zrozumieć zarówno tragizm upadku Polski, jak i tryumf jej odrodzenia.

Wincenty Rzymowski.

STALIN: DYKTATURA STRACHU

Dyktatura proletariatu?

Nie.

Dyktatura biurokracji?

To — już bliższe prawdy.

Dyktatura Stalina, jako szefa tej biurokracji? Tak, zapewne. Biurokracja sowiecka potrzebuje arbitra, zwierzchnika nieomylnego, pierwszego konsula, jeśli nie imperatora: ona to ku szczytom władzy wyniosła człowieka, który najlepiej odpowiada jej widokom i który jest tylko wypadkową zbiorowego ciśnienia, wywieranego przez kastę, gotową na wszystko, aby bronić siebie i swoich stanowisk.

Ale, mówiąc o dyktaturze Stalina, trzeba pamiętać, że ponad nią jeszcze wyżej sięga inna dyktatura, przed którą dzisiejszy władca Kremlu zgina czoło tak samo, jak niegdyś chylili je najpotężniejsi carowie: dyktatura strachu.

Tak, dyktatura strachu, owo wielowiekowe fatum Rosji, rządzi dziś Sowietami, jak ongi rządziło caratem. Tragizm zaś tej władzy potęguje się przez to, że jest nienasycona: im więcej pochłania ofiar, tym więcej ich wymaga.

Ledwie padli pod kulami wyroku Kamieniew i Zinowiew wespół z czternastu towarzyszami, już z mroków GPU. wychyliła się zbrojna ręka, aby sięgnąć po dalszą czeredę z Radkiem i Piatakowem na czele.

Czy koniec tego pochodu skazańców?

Nie, końca nie ma. Końca nie będzie. Śladem skazanych idą nowi oskarżeni: Rykow i Bucharyn. Obaj wiedzą, co ich czeka. W antrakcie między jedną zbiorową masakrą a drugą jakiś Tomski odbiera sobie życie; jakiś generał Putna kona na torturach...

Kto będzie następny?

A przecież ci, których nazwiska wypływają ponad milczenie lochów GPU. są tylko drobnym echem tego, co dzieje się w podziemiach ponurego urzędu.

Po każdej krwawej rozprawie z domniemanymi wrogami Stalin miałby prawo czuć się tryumfatorem. Miałby prawo czuć się zadowolony. Albo-ż to jego biurokratyczna maszyna nie funkcjonuje cudownie? Czyż spisek każdy nie zostaje przechwycony w zarodku? Spiskowcy czyż nie giną, nim podniosą broń? Owacje, hołdy, okrzyki czci i uznania, uchwały, dekrety, ustawy, rezolucje, adresy wiernopoddańcze, zaopatrzone milionami podpisów, depesze z zagranicy, hymny poetów, miłość i zachwyt ludów — aby otrzymać to wszystko, Stalin nie potrzebuje się fatygować: wystarcza mu nacisnąć właściwy guzik w maszynerii. Kadzidła chwalby płyną ponad wieże Kremlu. Miłość ludów nie ma granic. Ludność Z. S. R. R. — 170 milionów mieszkańców — to jedno bezgraniczne ognisko entuzjazmu dla umiłowanego mistrza i wodza. I czyż może być inaczej? Wszak to wszystko on sam, Stalin, zamówił, nakazał, opłacił... Tak jest, opłacił wszystko, czego nie mógł nakazać, aż do artykułu lub poematu w gazecie. Bez nakazu w państwie Stalina nie ozwie się ani jeden głos. Nie nadejdzie ani jedna depesza. Czasami wydaje sie mu, że on jeden tylko istnieje na świecie i wielbi sam siebie. I to go niepokoi. Bo jakże? Więc gdyby nie jego rozkazy, nic by się nie działo? Aparat przestałby funkcjonować! A jeśli ten posłuch bezgraniczny jest tylko maską tłumionej rewolty? Wszystkie jego rozkazy, wykonywane dosłownie, stają się tak niedorzeczne, że musi je co rychlej odwoływać rozkazami przeciwnymi, które stają się równie niedorzeczne. Ledwie zarządził: „kolektywizacja zupełna", a już w trzy tygodnie potym rzecz była gotowa i trzy czwarte inwentarza wyrżnięte. Gdy rzucił hasło: „Kolektywizacja dobrowolna", hasło w lot pochwycono, i kołchozy się opróżniły. Więc znowu woła: „Dosyć, dosyć!" Razu pewnego rzekł, że nauka nie może ignorować marksizmu, i oto natychmiast w podręcznikach akuszerii ukazały się cytaty, zaczerpnięte z „Kapitału". Znów musi interweniować: „Nie mylić marksizmu z ginekologią!" Niech zaleci nowe wypisy historyczne, a sporządzą mu takie, że będzie musiał publicznie ich się wyrzec. Niech spyta o nastroje mas, a niezwłocznie do rąk jego dojdzie deklaracja miłości, podpisana przez dwa miliony osób, ślubujących mu dozgonną wierność. Niech wyjdzie z krużganków Kremlu, a tłumy, zebrane na placu ryczą jednogłośnie: „Wyjrzało jasne słoneczko" *).

A może to tylko kłamstwo i kpiny? Co myślą sobie w głębi duszy ci wszyscy ludzie, napozór tak posłuszni i karni? Czego właściwie chcą? Z pewnością chcą żyć wygodnie i dostatnio... Reszta, a w tym i cały socjalizm, mało ich obchodzi. Ale w takim razie... Na kogo liczyć? Gdyby jutro nie stało jego żelaznej dłoni, dzierżącej ster państwa, kto go zastąpi? Komu może zaufać? Ze starej gwardii bolszewickiej nie pozostał prawie nikt. Przy stole narad na Kremlu zasiadają obok dyktatora widma pomordowanych. Pustka wokół niego czyni się coraz szersza. Gdybyż liczyć mógł przynajmniej na swą przyboczną straż osobistą! Ale czyż są na świecie słudzy pewni i niezawodni? Niedawno wśród najściślejszej służby zamkowej wypadło rozstrzelać kilkunastu. Pozostali wiedzą o tym i żyją w ustawicznym strachu. Ale ze strachu rodzi się nienawiść, która zdradza sama siebie przy lada sposobności. Radek, którego Stalin sadzał przy swym stole, wygadał się kiedyś... Piatakow, gdy był pijany, powiedział... Tak, niech tylko języki się rozwiążą, a natychmiast wyziera nienawiść.

Nienawiść bezimienna, głucha, nieogarnięta. Zrodzona z trwogi i popłochu, sama z kolei przeistacza się w trwogę, biorącą w posiadanie mózg i nerwy samowładcy.

Staje się strachem w jego duszy. Staje się dyktaturą strachu w jego państwie.

Ktokolwiek bowiem rządzi strachem, ten żyje sam w jego okrutnych szponach. Takie jest prawo życia.

Kto rządzi strachem, ten w najgłębszych tajnikach serca żywi przeświadczenie, że jest nienawidzony, jakbykolwiek usilnie zacierał każdy ślad nienawiści, która go osacza. Nosząc popłoch w każdym włóknie swego jestestwa, dostrzega wszędzie knowania i podstępy swych wrogów. Ścigany strachem, spiętrza i gromadzi widziadła niebezpieczeństw tak długo, aż — w końcu — aby ulżyć samemu sobie, zaczyna je dramatyzować. Po jednej stronie ukazują mu się jego wrogowie, po drugiej wznosi się jego władza, niby ognisty miecz, mający ich porazić.

*) Fakty zaczerpnięte z wydawnictwa: „Crapouillot". V. Serge: „De Lenine à Staline".

W oszołomionej wyobraźni tyrana - terorysty własna jego postać wyrasta na wcieloną Moralność, której powinnością jest powalić Przeciwnika, uosobione Zło. Owe sądy ryczałtowe, owe trybunały krwawe, które stały się nieodłączną częścią ustroju sowieckiego, a stamtąd przeniosły się także i do krajów faszystowskich, wydają wyroki w imię takiej właśnie moralności. Obojętną przytym jest rzeczą, kto staje się jej ofiarami. Mogą to być weterani rewolucji, jak Kamieniew lub Piatakow; pół-głuptacy, jak Van der Lubbe; inżynierowie cudzoziemscy, jak Ramzin; zbyt ambitni komilitoni, jak płk. Röhm. Wszystkie te ofiary — nie są to ludzie, ale symbole. Reprezentują one strach, nurtujący serce samowładcy. Są terorem terorysty. Jak dalece w państwie, rządzonym przez teror, pozamykane są wszystkie drzwi ewolucji, wiodącej ku normalizacji stosunków, świadczy świeży przykład nowej konstytucji sowieckiej. „Unia Sowiecka — pisał niedawno w związku z tą konstytucją *Daily Herald*, organ angielskiej *Labour Party* — przechodzi nie od dyktatury do demokracji, ale od jednej postaci dyktatury do drugiej".

Jak długo jeszcze ognisty miecz teroru kołysać się będzie nad Rosją całą jej ludność spychając pod jarzmo strachu i poniżenia, których widok tak srodze przygnębił Andrzeja Gide'a? Będzie on panował póty (o ile nie zajdą komplikacje postronne) dopóki teror, strawiwszy wszystko, co mu się przeciwstawia, nie skruszy sam swego własnego miecza.

Rządzenie strachem jest możliwe, na szczęście, tylko na krótką metę, podobnie, jak tylko na krótką chwilę można strachem opętać jednostkę. *Kto człowieka powali na kolana, ten go nie poprowadzi naprzód.* Słusznie uchodzi za pewnik państwowy, że naród polski odrzucił tyranię komunizmu na polach bitew 1919 i 1920 roku. Ale trzeba dodać, że tyranię reakcji społecznej odrzuciliśmy już sto lat temu na niezliczonych pobojowiskach całej Europy; odrzuciliśmy ją przede wszystkim krwią trzech powstań naszych. Tyranie bywały w przeszłości i, być może, powracać będą znowu na przełomie dziejów, ale ta tyrania totalna, której typ na gruzach caratu stworzyła Rosja Sowiecka, a z Rosji przeszczepiają lub naśladują niektóre burżuazje Zachodu, jest czymś zupełnie swoistym. Wymaga ona, aby każdy żył pod jej rządami w ustawicznym strachu; aby każdy tym więcej się lękał, im więcej budzi wokół siebie grozy.

„Mam niewyrozumowaną a jednak nieodpartą pewność — rzekł niedawno pewien mądry Anglik-demokrata *), że tak, jak totalna dyktatura sowiecka powstała pierwsza, tak też pierwsza runie, i że skoro ta się zawali, inne podążą jej śladem".

Myśl ta jest czymś więcej, niż wróżbą: jest wnioskiem, wysnutym ze zdarzeń a popartym przez wszystko, co wiemy o Rewolucji Rosyjskiej w jej ostatniej teraźniejszej fazie; w tej fazie, gdy, podobnie jak niegdyś Rewolucja Francuska, zaczęła ona pożerać sama siebie.

W. Z.

*) Malcoln Muggeridge: „Stalin's new purge".

NA OSI BERLIN — RZYM

Z Berlina najczęściej padają pod adresem innych stolic oskarżenia o jakieś knowania i spiski, politycy narodowo - socjalistyczni mają zawsze na ustach frazes o polityce okrążania narodu niemieckiego, który niczego nie pragnie dla siebie oprócz „miejsca pod słońcem", albowiem jest „Volk ohne Raum".

Niedawno powtórzył tę znaną aż do znudzenia zwrotkę polityki hitlerowskiej min. Göbbels w przemówieniu w Deutschlandhalle w Berlinie wobec 20.000 członków partii. Oświadczył tam wprawdzie bez żadnych ogródek że „Niemcy podarły w strzępy traktat wersalski, broniąc swojego prawa do życia i równouprawnienia, ale natychmiast dodał, że Rzesza Niemiecka nie wtrąca się do niczyich spraw wewnętrznych. „Nie jestem taki głupi, jak dziennikarze francuscy — mówił „elegancko" p. dr. Göbbels — nic mię nie obchodzi jaki kto ma u siebie ustrój".. Wydarzenia najbliższych, po tym wystąpieniu, dni w sposób niezwykle jaskrawy dowiodły, ile nieprawdy jest w tym twierdzeniu współczesnych polityków Niemiec.

Nie może być przecież inaczej, skoro w urzędzie do spraw zagranicznych przy Wilhelm-Strasse urzęduje dostojnik partyjny gauleiter Bohle, którego zadaniem jest kierowanie życiem wszystkich Niemców zagranicą, a więc bardzo często życiem licznych i gęstych skupień ludności niemieckiej po za granicami III-ej Rzeszy. Gdy się taką „robotę" włączy do zadań ministerstwa spraw zagranicznych, to, oczywiście, wchodzi się bezpośrednio na drogę wtrącania się do spraw wewnętrznych innych państw, ani mniej ani więcej, niż to czynił za dawnych przedwojennych czasów carski panslawizm, a współcześnie sowiecki Komintern. Nic też dziwnego, że tu lub owdzie pęka bomba niemieckich interwencji do spraw wewnętrznych innych państw. Niedawno na tych łamach była mowa o mozolnym i powolnym powrocie Węgier na drogę prawa przeciw katastrofom wewnętrznym i zewnętrznym. To, naturalnie, nie dogadzało widokom i planom Berlina. I oto ku zdumieniu opinii publicznej węgierskiej i zagranicznej zostaje wykryta w Budapeszcie i na prowincji w szczególności w Węgrzech zachodnich szeroko rozgałęziona akcja spiskowa prawicy radykalnej, która zmierzała do przewrotu i obalenia obecnego rządu p. Daranyi'ego. Pogłoski na ten temat krążyły już dość dawno. W sejmie węgierskim interpelowano rząd, ministrowie odpowiadali, że wszystko jest w porządku, że władza czuwa... A tym czasem miasto szeptem powtarzało pogłoskę, że radykalna prawica przygotowuje zamach i że może liczyć na poparcie szefa policji budapeszteńskiej d-ra Ferencza i nawet grupy oficerów. W dniu, 5 marca na zgromadzeniu rządowej partii Jedności Narodowej premier sam wyznał, że istotnie spisek wykryto.

Półurzędowy *„Pester Lloyd"* nie ukrywa, że w spisku czynna była ręka obca kierowana z Berlina.

Jesteśmy wprawdzie wskutek traktatu w Trianon osłabieni — pisze gazeta — ale nie do tego stopnia, abyśmy znosili bez protestu wtrącanie się do naszych spraw zzewnątrz.

Po ujawnieniu tej „gierki" politycznej, szef policji stołecznej na Węgrzech podał się do dymisji, a poseł Rzeszy Niemieckiej tegoż dnia nagle wyjechał do Berlina. Opuścił też Budapeszt korespondent Niemieckiego Biura Informacyjnego von Hahn, który ongi w 1934 r. odegrał wybitną rolę w puczu narodowo-socjalistycznym w Wiedniu i w katastrofie Dollfusa.

***

Ten „incydent" budapeszteński nie jest odosobniony; ma on swoją szczególną wymowę naskutek tego, że Węgry to przecież były sojusznik Niemiec z wielkiej wojny i jak gdyby sprzymierzeniec w dążeniu do rewizji traktatów. Tak. Ale Węgry wchodzące na drogę prawa, to dla III-ej Rzeszy — nieprzyjaciel! Identyczne wydarzenia rejestruje kronika ostatnich tygodni nad całym nieomal biegiem błękitnego Dunaju.

Przypomnijmy, co się działo w ostatnich tygodniach w Rumunii. Wzrastająca niepohamowana niczem akcja „żelaznej gwardii" urządzającej burdy antysemickie po uniwersytetach. Żelazna gwardia p. Codreanu, działa w ścisłej łączności z organizacjami narodowo - socjalistycznymi Niemców rumuńskich. W trakcie rozpasania tej działalności odbywa się demonstracyjny pogrzeb dwóch „żelaznych gwardzistów", którzy polegli w Hiszpanii, jako ochotnicy wojsk gen. Franco. Na pogrzeb zjawia się cała hitleryzująca młodzież studencka, a także.... panowie posłowie Rzeszy Niemieckiej i Italii. Dobry obyczaj dyplomatyczny każe, aby przedstawiciele państw obcych zjawiali się na takich tylko uroczystościach, gdzie reprezentowany jest rząd przy którym są akredytowani. Tu ten obyczaj został pominięty. Wywołało to oburzenie w obu izbach rumuńskich, interpelacje, protesty, a wreszcie noty rumuńskie do Berlina i Rzymu. Posłowie rumuńscy z obu tych stolic zostali wezwani do Bukaresztu.

Pod obcym protektoratem panoszący się ruch radykalno - narodowy tymczasem wzbierał. Jeden z twórców nowej wielkiej Rumunii, sędziwy profesor Jorga poprosił o zwolnienie go z katedry, bo jego zdaniem w wyższych uczelniach zapanowała taka atmosfera, jakiej nigdy od 50 lat, gdy uczony ten wykłada, w niej nie było. „Ruch" stwarzający tę atmosferę poszedł dalej: napadnięto i poraniono ciężko rektora uniwersytetu w Jassach profesora Bratu.

W senacie rumuńskim senator Filipescu, mówiąc z oburzeniem, o stanie rzeczy w państwie, zawołał: „Nawet gdy Rumunia była słabym księstwem, wobec potężnych wówczas Austro-Węgier, nie dopuściliśmy do takiego wtrącania się w nasze sprawy wewnętrzne, jak to dzieje się obecnie".

Z Berlina i z Rzymu nadeszła formalna odpowiedź: panowie dyplomaci brali udział w pogrzebie jako osoby prywatne, uważając to za uroczystość czysto religijną. Rząd p. Tatarescu musiał dokonać trzeciej już rekonstrukcji, zamknął wszystkie uniwersytety, ale na razie nie dał sobie rady z podsycaną z zewnątrz anarchią nacjonalistyczną.

A w samym środku dorzecza Dunaju w Wiedniu rewizyta ministra Rzeszy von Neurath'a dała okazję do demonstracji przeciwko rządom kanclerza Schusschningga. Były przywódca hitlerowców austriackich Habicht przygotował liczne ekipy dobrze wyposażonych demonstrantów, którzy znowu tak jak w Budapeszcie, znaleźli nieco opieki wśród niektórych władz austriackich. Rewizyta nie powiodła się. Jak pisano w całej prasie von Neurath po tej interwencji w Wiedniu powrócił do Berlina z pustymi rękami. Rząd austriacki po raz pierwszy po układzie z 11 lipca 1936 r. zaniepokoił się. Zwrócił się do swego protektora do Rzymu, próbując, czy tam nie uzyska poparcia dla myśli o przywróceniu monarchii, która była by obroną od „Anschlussu", narzucanego przez „przyjaciela". Ale w Rzymie tym razem panowała już oziębłość wobec Wiednia. Strażnik niepodległości Austrii ten, co niegdyś mobilizował korpusy na linii Brenneru przeciw puczowi hitlerowskiemu w Wiedniu, teraz stoi na „osi Berlin — Rzym". Oś ta kręci się wyłącznie dla III-ej Rzeszy.

Uważni obserwatorowie dyplomatyczni na zachodzie stwierdzają z zadziwiającą jednomyślnością, że Italia jest stroną osłabioną w dwustronnym układzie z Niemcami. Brukselski *„Peuple"* zwraca uwagę, że na skutek podporządkowania się interesom Niemiec Italia straciła swoją swobodę rąk w polityce zagranicznej, nie może straszyć już wielkich demokracji zachodu Francji i W. Brytanii przyszłym sojuszem z Niemcami, a przeciwnie musi wlec się w ogonie polityki Wilhelmstrasse, nic nie zyskując wzamian. Chyba, że zyskiem nazwie ktoś wznowienie metod hakaty pruskiej w Tyrolu włoskim, gdzie wprowadzono prawo pierwokupu dla organizacji rządowych (po cenie niższej od szacunku) ziemi należącej do ludności austriackiej.

Oś wiodąca do Berlina nie zmieniła polityki i zwyczajów angielskich. Przeciwnie staje ona w coraz głębszym i ostrzejszym przeciwieństwie do W. Brytanii. W skali mniejszej widzimy tego dowody nieomal codziennie. Co się ruszy pan ambasador Rzeszy von Ribbentrop, który miał pono cudów nad Tamizą dokonać, to nowa gaffa i nowe niepowodzenie. Tak było od pierwszej chwili kiedy w imieniu „szanującej inne ustroje" Germanii p. von Ribbentrop jeszcze przed wręczeniem listów uwierzytelniających zaczął pouczać Anglię, jak ma walczyć z komunizmem, tak było później gdy naruszył panujące na dworze brytyjskim obyczaje. To samo powtórzyło się ostatnio, gdy jak pisze organ min. Edena *„Jorkshire Post"*, wbrew panującym na świecie dobrym obyczajom p. von Ribbentrop na lipskim jarmarku wysunął żądanie pod adresem Anglii, aby ustąpiła Niemcom kolonie. „Tego jeszcze nigdy nie było — pisze cytowane pismo angielskie — aby ambasador wygłaszał w swoim kraju mowę z żądaniami do państwa, w którym jest akredytowany. Coprawda, nie było też nigdy ambasadora, który by po to przyjeżdżał do Anglii, aby ją zbawić od komunizmu, lub kłaniać się po rasistowsku królowi". Tak brzmi spokojna odpowiedź angielska wobec zajść na małą skalę. Odpowiedź na działania przeciw pokojowi, porządkowi i ładowi, prowadzone wszędzie, udzielona była w wielkiej skali przez niebywałe zbrojenia angielskie w ciągu ubiegłych niedawno dni uchwalone.

t. r.

Z DNIA NA DZIEŃ

NIE ZATAPIAĆ WŁASNEGO MIESZKANIA.

W *„Gazecie polskiej"* podano następującą statystykę ustrojową państw europejskich:

„W Europie współczesnej ustroje demokratyczno - parlamentarne utrzymują się tylko w 11 państwach na 28 (nie licząc Luksemburga. Lichtensteinu i Monaco). Należą tu dwa wielkie mocarstwa (Wielka Brytania i Francja), jedno państwo średniej wielkości (Czechosłowacja) oraz t. zw. kraje mniejsze: Belgia, Dania, Finlandia, Irlandia, Holandia, Norwegia, Szwecja i Szwajcaria. Druga grupa 10 państw licząca, posiada t. zw. ustroje „faszystowskie". Stoją tu na czele dwa wielkie mocarstwa (Niemcy i Włochy), jedno średnie (Turcja, która posiada w Europie milion mieszkańców), oraz siedem państw mniejszych: Albania, Austria, Estonia, Grecja, Łotwa, Litwa i Portugalia. Sześć państw posiada ustroje pośrednie pomiędzy demokratycznym parlamentaryzmem a „faszyzmem": na czele ich stoi Polska, potem idą Bułgaria, Jugosławia, Rumunia i Węgry; tu również zaliczamy — przynamniej na razie — Hiszpanię. Wreszcie w Związku Sowieckim, którego część europejska liczy 128 mil. mieszkańców, istnieje antydemokratyczny ustrój komunistyczny. W sumie, na 509,4 mil. mieszkańców Europy, 142 miliony mieszkańców żyje w ramach ustrojów demokratyczno - parlamentarnych, 103,6 posiada ustroje antyliberalne, 135,8 maszeruje pod sztandarami różnych „faszyzmów", a 128 — pod sztandarem komunizmu".

Jakież stąd wnioski? Najłatwiej o wnioski powierzchowne, jak ten, że skoro na 28 państw europejskich tylko w 11 panują ustroje demokratyczno-parlamentarne, to widać, że się one już „przeżywają", że antydemokratyzm staje się „koniecznością dziejową", z którą walka równa się walce z wiatrakami. Dalszy ciąg tego rozumowania brzmi: powstaje nowa rzeczywistość, dawne hasła demokracji przestały być żywotne, trzeba iść z „prądem czasu", a kto się tej „nieuchronnej" zmianie przeciwstawi, ten przegra wszystko. Sugestia „konieczności dziejowych" wywołała istotnie duże spustoszenie w umysłach. Jakby już w dziejach politycznych świata żadnej roli nie grała wola zbiorowa wolnych narodów. Jakby jakieś dyktatorskie fatum zawisło nad ludzkością i bez względu na jakiekolwiek opory zmiażdżyć miała wszystko, co ratuje zasady wolności i sprawiedliwości społecznej.

Ten swego rodzaju mistycyzm polityczny podsycany jest nieustannie przez antydemokratyczną propagandę, która obrońców demokracji ukazuje, jako ludzi nierealnych, nieledwie fantastów, którzy stracili poczucie rzeczywistości.

Na razie jednak — 142 miliony mieszkańców Europy żyje w ramach ustrojów demokratyczno - parlamentarnych i jakoś nic za tym nie przemawia, żeby owa „konieczność dziejowa" zagrażała ustrojom Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii, Czechosłowacji, Danii, Finlandii, Irlandii, Holandii, Norwegii, Szwecji i Szwajcarii. A w całokształcie spraw politycznych, społecznych, kulturalnych Europy państwa te odgrywają rolę powiedzmy z umiarem — dość realną, nie widać tam — jakiegoś braku poczucia rzeczywistości. Po prostu — obroniły się najskuteczniej antydemokratycznej psychozie. Obroniły się, ratując najgłębsze walory europejskiej kultury i cywilizacji.

Kto ulega mistycznej fikcji „konieczności dziejowej" i poddaje się bez oporu jej „wyrokom", podobny jest do człowieka, któryby na wieść o powodzi, czym prędzej otwierał wszystkie krany we własnym mieszkaniu. Bo i tak... i t. d.

Nie otwierajcie tych kranów przedwcześnie! Mieszkania własne zalejecie, a tymczasem „poziom rzeki" spadnie..

JAK SIĘ OSZUKUJE LUD?

Demagogia antysemicka trzyma się zasady: kłamać nieustannie, odwracać uwagę od wszystkich rzeczywistych źródeł nędzy mas, ukazywać niebezpieczeństwa urojone, grać na instynktach najniższych. Jest to stary, wypróbowany i — rzec można — nudny system oszukiwania ludu.

Ukazano teraz ludności wiejskiej drogę zbawienną: opanowanie straganów. Stragan zaawansowany został do rzędu wielkich redut narodowych, których zdobycie zapewni masom ludowym dobrobyt, potęgę i najświetniejszą przyszłość.

„Odsuńmy na chwilę „narodowe" frazesy — pisze *Głos Powszechny* — i weźmy do ręki ołówek. Dane statystyczne wykazują, że w Polsce mamy w przybliżeniu 70 tys. straganów. ½ część tej liczby przypada na województwa zachodnie, dokąd nie można kierować chłopa z tej prostej przyczyny, że tam kupców żydowskich nie ma. Z pozostałej liczby straganów około 50% przypada na ziemie, zamieszkałe przez ludność ukraińską i białoruską, dokąd również wieśniak z Kongresówki czy z Poznańskiego nie pójdzie; w tych stronach zresztą drobny handel przechodzi w ręce dobrze prowadzonych i świetnie rozwijających się kooperatyw. Pozostają więc tylko województwa centralne z kilkunastoma tysiącami żydowskich straganiarzy (gdyż również trzeba wziąć pod uwagę część straganów polskich).

Reasumujemy: usuwając kilkanaście tysięcy wegetujących i wynędzniałych kramikarzy żydowskich, których zarobek zasadniczo nie przekracza 50 zł miesięcznie, ma znaleźć podstawę bytu 8 milionów „zbędnych chłopów".

Ale co tam cyfry! Co tam — rzeczywistość! Nie o rzeczywistość przecież chodzi. Chodzi o tę siłę złudzenia, która ma wzrok chłopa, niebezpiecznie skierowany na wielką własność ziemską, na obszarników i latyfundystów, odwrócić w stronę straganu żydowskiego, którego opanowanie ma zastąpić wywłaszczenie i parcelację ziemi. Niech chłop tak myśli, niech będzie przekonany, że właśnie stragan żydowski to największa zawada na drodze do dobrobytu. To cała tajemnica antysemickiego szalbierstwa: oszukać nieuświadomionego.

A znów tajemnica postępu i demokracji to ta: uświadomić oszukanego.

INTERES PRZEDE WSZYSTKIM.

Trzecia Rzesza i Sowiety płoną świętym ogniem nienawiści wzajemnej, ale wcale im to nie przeszkadza przyjaźnie handlować między sobą. Co więcej, nawet nie przeszkadza Niemcom uzbrajać nienawistnego przeciwnika. Prasa francuska donosi, że 40% zakupów sowieckich w hitlerowskim państwie obejmuje materiał wojenny, nie wyłączając sprzętu lotniczego. Tak ideowe hasła toną w stertach banknotów!

W TEJ GEHENNIE.

Strajk szewców i chałupników poruszył opinię stolicy. Ich marsze protestacyjne z Mińska Mazowieckiego, Wołomina, Legionowa, Piaseczna it. d., do Warszawy, a ściślej — do sklepów z obuwiem, przyczyniły się do uświadomienia ogółu o straszliwej nędzy tych ludzi.

W reportarzu p. t. „W okupowanym sklepie" pisze *„Express Poranny"*:

„Nocą spali wszyscy na podłodze pokotem, każdy zwinięty z powodu ciasnoty w kłębek z kolanami pod brodą.

— Więc aż tak bardzo źle?

— Źle? Wcale nie... — wzrusza ramionami któryś. — Nie gorzej niż w domu Żaden z nas przecież, ilu nas tu jest, nie ma u siebie własnego łóżka. Śpi z żoną,

dziećmi, ze „starymi", po czworo na jednym legowisku. Materaca też żaden z nas nie ma. To cóż za różnica spać „gołkiem" na ziemi.

— Może nawet lepiej — pokpiwa z goryczą drugi, krzywiąc twarz w uśmiechu, który boleśnie napina żółtą skórę jego chudej twarzy. — Dziś przynajmniej spaliśmy całe 8 godzin. A powszedniego dnia śpi się najwyżej po 4 godziny. Bo przecież pracujemy po 18 godzin. A gdzie czas na jedzenie, na pogadanie z dziećmi, na przeczytanie gazety?...

Blondyn w kącie o ziemistej twarzy spogląda z uciechą na swe dłonie o palcach gruzłowatych, pełnych zacieków, zgrubień i odcisków:

— Trochę sobie przynajmniej odpoczną — mówi trzymając je rozczapierzone tuż przed oczami — ten strajk to przecież nasz przymusowy urlop. Dobry i taki, skoro dobrowolnego urlopu nikt z nas nie pamięta.

— A jak z jedzeniem?

— Ech, proszę państwa, dla nas głód to taka codzienna dolegliwość, że przywykliśmy ją lekceważyć — mówi młody brunet. — Nie pierwszyzna nam to. Tak samo głodowali nasi ojcowie, więc walczymy, żeby przynajmniej nasze dzieci nie głodowały".

O nędzy chałupników pisze się za mało. Wyzyskiwani są najokrutniej. Jest to już dno społecznego upośledzenia. Słusznie ktoś nazwał te zastępy — polskimi kulisami.

Liczne to są zawody: szewcy, krawcy, tkacze, szwaczki, modniarki. Zarobki takie: w dziale szydełkowym przy 14, a często i przy 16-godzinnym dniu pracy— od 40 do 70 groszy dziennie. Za uszycie koszuli szwaczka otrzymuje 29 groszy, za uszycie kalesonów — 15 groszy. Tkacz za godzinę pracy — 7 groszy. Krawcy i modniarki przy 12—14 godzinnym dniu pracy zarabiają po 1 zł. dziennie.

W chałupnictwie zatrudniane są dzieci już od 6-go roku życia. Po roku pracy — wszystkie chore.

W chałupnictwie w warunkach hygienicznych najpotworniejszych i dla zarobków głodowych pracuje u nas z górą 400.000 osób.

W GRONIE FILOLOGÓW

W pewnym gronie filologów, omawiających sławy nasze w tej dziedzinie wiedzy, wypłynęło nazwisko prof. Tadeusza Zielińskiego. I czyż mogło być inaczej?

— Co mnie w tym człowieku uczonym zaciekawia najwięcej, — ozwał się jeden z jego młodszych kolegów (ten młodszy ma już pod 60-kę) — to bynajmniej nie stosunek jego do hellenizmu lub judaizmu, do Cycerona lub Józefa Flawiusza. Zainteresowania moje są natury konkretniejszej a zarazem treściwszej.

— ??

— Chciałbym wiedzieć, co profesor Zieliński mówi, gdy wchodzi do swego fryzjera.

— ??

— No, tak! Co mówi ze swoim fryzjerem, który przecież być musi postacią wcale nie drugorzędną w organizacji tego autorytetu, jakim nasz mąż uczony cieszy się w opinii.

— ??

— Nie, mówię serio. Wierzcie mi panowie. Przecież pierwszym odruchem fryzjera, który spojrzy na Zeusowe oblicze Zielińskiego, jest napewno namiętna chęć obcięcia jego boskich „kędziorów" i zgolenia wiekopomnej brody. Czemuż tego nie czyni?

— ??

— Nie czyni tego z pewnością na wyraźne „veto" dostojnego mędrca, który nie bez powodu lęka się o efekt tak prozaicznego zabiegu.

— ??

— A jednak to — prawda. Filologia — filologią, a kosmetyka — kosmetyką.

Stary wyga - profesor, który szkołę kariery przeszedł po szczeblach petersburskiej drabiny, wie dobrze, ile warta jest inscenizacja powagi tam, gdzie sądzi się człowieka z pozorów, gdzie głębokomyślność uczonego zawiesza się na niedopiętym guziku od spodni, a włosy nietknięte zgrzebłem, uchodzą za płomienisty krzak Jehowy:

— A zatym, szanowny kolego?

— A zatym — nic. Sądzę tylko, że zanim przystąpimy do krytyki dzieł czcigodnego profesora rzeczywistego radcy stanu z carskiej *tabeli o rangach*, należałoby posłać go do *Cyrulika Warszawskiego*, by mu zgolił... atrybuty boskości.

IDEOLOGIA AGRARYSTÓW

Gromada chłopska, mająca coraz większe poczucie swej siły społecznej, zmierza do odegrania samodzielnej roli w walce o przebudowę Polski. Poważne odłamy zorganizowanego ruchu chłopskiego wytwarzają własną filozofię życiową, która obecnie pod mianem agraryzmu opanowuje umysły.

Jako wyraz pędu i ruchu, ta młoda myśl ludowa, tchnąca idealizmem, jest zwiastunem kierunku, który stać się może współczynnikiem w tworzeniu się nowej rzeczywistości. Z tych więc względów treść ideologiczna agraryzmu zasługuje na uwagę i nieco bliższe poznanie.

Pierwsze próby określenia istoty agraryzmu podjęła krakowska akademicka młodzież ludowa w 1932 r., wytyczne programowe agraryzmu ustalił po raz pierwszy Kongres Stronnictwa Ludowego w 1935 r., tezy zaś nowego ruchu przyjął w tym samym roku walny zjazd młodzieży wiejskiej „Wici".

Stanisław Miłkowski, znany teoretyk i pionier agraryzmu w swojej książce p. t. „Walka o nową Polskę" dowodzi, że gromada chłopska staje się w warunkach naszej rzeczywistości dzisiejszej środowiskiem ideowo najżywszym: „Roztwierające się przed warstwą chłopską szerokie horyzonty rozwojowe — obudziły w niej tęsknoty, dotąd głęboko utajone; żar budzącej się wiary we własne wyzwolenie rozpłomienia się coraz mocniej, bucha ogniem, który nie tylko oczyści ją z wszelkich pańszczyźnianych pozostałości, ale również stanie się odnową życia polskiego we wszystkich jego przejawach i dziedzinach. Dźwiganie się wzwyż tego potężnego masywu chłopskiego stanie się treścią życia polskiego. Wieś jest dzisiaj ośrodkiem najsilniejszej ekspansji ideowej, społecznej i kulturalnej".

Stanowisko agraryzmu wobec kapitalizmu jest wyraźnie negatywne, a jeżeli chodzi o gruntowną zmianę ustroju, o uspołecznienie środków produkcji, o gospodarkę planową, to poniekąd uznaje program socjalistyczny, nie godząc się jednak na kolektywistyczne rozwiązanie kwestii rolnej.

Agraryzm w swej analizie przemysłowego procesu w ustroju kapitalistycznym przechyla się na stronę socjalizmu naukowego i przyznaje, że prawo koncentracji środków produkcji zostało w drodze doświadczenia całkowicie potwierdzone, natomiast jeżeli chodzi o prawo koncentracji w sferze rolni-

ctwa, to uważa, że tutaj proces rozwojowy zmierza w przeciwnym kierunku na mocy prawa dekoncentracji.

Agraryści twierdzą, że drobne warsztaty rolne mają przewagę nad wielkimi i okazały się bardziej od nich wydajne. Nauka i życie dowodzą, iż w wielu działach wytwórczości rolnej, zwłaszcza tak ważnych, jak hodowla, warzywnictwo, drobne gospodarstwa bezwzględnie górują nad wielkimi, co ustalone zostało w drodze sumiennych i metodycznych badań ekonomiki rolnej: „Gdyby wielka własność rolna — powiada Stanisław Miłkowski — górowała nad drobną, to naturalnym zjawiskiem byłoby zanikanie drobnych warsztatów na jej rzecz. Drobny rolnik nie mogąc wytrzymać konkurencji wielkoobszarniczej — zmuszony byłby do wyzbywania się swojego warsztatu i przechodzenia do roli fornala, tak jak działo się to z niektórymi rodzajami rzemiosła w okresie rodzenia się kapitalizmu, który rujnując samodzielne warsztaty rzemieślnicze sprowadził ich właścicieli do stanowiska robotników najemnych. Rozwój struktury agrarnej we wszystkch państwach mówi wręcz coś przeciwnego. *Wszędzie obserwujemy rozpadanie się wielkiej własności ziemskiej na rzecz drobnej.* Odbywa się to bez przymusu państwowego w formie np. reformy rolnej, a jedynie na mocy działających praw ekonomicznych". Opierając się więc na tak pojętym procesie rozwojowym agraryści próbują swoje formuły ustrojowe, odnoszące się do roli życiowej drobnych gospodarstw oprzeć na prawie dekoncentracji w rolnictwie. Natomiast — jak sami powiadają „uznając w dużym stopniu słuszność prawa koncentracji w dziedzinie produkcji przemysłowej — agraryzm przyjmuje zatem stanowisko socjalistycznego rozwiązania tej kwestii. A więc agraryzm, stając na gruncie walki o sprawiedliwy ustrój społeczny, na tym odcinku nie jest kierunkiem przeciwstawnym socjalizmowi, biegnie on do niego równolegle, stwarzając jednak pełny program społeczno - gospodarczy dla warstwy chłopskiej i robotniczej bez jakichkolwiek jednostronnych rozstrzygnięć".

Agraryści, podnosząc życiową wartość drobnej indywidualnej gospodarki rolnej, widzą jednakże, iż drobny warsztat ten jest jednostką słabą gospodarczo i nie może wyzyskać wszystkich swoich możliwości: nabyć nie może kosztownych narzędzi do uprawy roli, maszyn mleczarskich i t. d. nie może ani racjonalnie zbywać swoich produktów ani też korzystać z dobrodziejstw postępu technicznego i kulturalnego. Ażeby więc drobne gospodarstwa mogły sprostać zadaniom pożytecznym w skali społecznej i uniknąć szkód wynikających z ujemnych stron małej własności, — agraryści odwołują się do ogniskującej roli spółdzielczości, jako najbardziej odpowiedniej i celowej formy działania zbiorowego.

W swym idealistycznym poglądzie na przyszłość i w planowaniu nowego ustroju agraryzm wyznacza spółdzielczości poczesne miejsce, widząc w niej rękojmię rozwoju indywidualności człowieka i zabezpieczenie jednostki przed dławiącym naporem mechanizacji życia: „Spółdzielczość — mówi Stanisław Miłkowski — jakkolwiek jest kolektywną formą działania, to jednak nie unicestwia jednostki, bo sama jest wytworem jej samodzielnych poczynań w szerszym zespole podobnych indywiduów. Jest ona raczej najwyższą formą samodzielności jednostki, sumą indywidualnych inicjatyw tych osób które w zbiorowym wysiłku starają się urzeczywistnić określone cele. Jest ona ruchem nie tylko o charakterze gospodarczym, ale w równej mierze ruchem społecznym i moralnym, głoszącym hasła wzajemnej pomocy i braterskiego współdziałania".

Zatem spółdzielczość ma być trzonem przyszłego ustroju, zasada zaś prywatnej własności uzależniona ma być od względów dobra społecznego, które wyłącza wyzysk człowieka przez człowieka.

Siłą rzeczy więc agraryści zwracać się muszą przeciw komunizmowi, który znosi kapitalistyczną własność prywatną i uspołecznia wszelkie środki produkcji, bez względu na to, w czyich rękach się znajdują i na czyj użytek są obracane. Broniąc drobnej własności, agraryści wychodzą z założenia, że chłop żyje z pracy własnych rąk i jedynie to różni go od zwykłego robotnika, że się osobiście nikomu nie wynajmuje. Kapitał chłopa w postaci ziemi, budynków, inwentarza żywego i martwego ma znamiona wybitnie społeczne, albowiem „daje podstawę do bytu jemu i jego rodzinie, daje mu tylko warsztat pracy". Agraryści zatem wypowiadają się za zniesieniem prywatnej własności jedynie w tych dziedzinach gospodarstwa społecznego, gdzie „przedsiębiorca — kapitalista posługuje się w swojej działalności produkcyjnej wyłącznie lub głównie pracą najemną i tą drogą wyzyskuje swoich pracowników".

Teoretyczne te założenia upoważniają w pewnym stopniu do określenia istoty agraryzmu jako kierunku demokratyczno - ludowego, którego treścią są ideały wolności i obrona zarówno jednostki, jak i społeczeństwa przed narzucaniem z góry gotowych form ustrojowych. Stanowi niejako syntezę pierwiastków indywidualnych i zbiorowych, co według rozumienia agrarystów jest niejako formą uspołecznionego indywidualizmu i znaleźć ma swój wyraz w wszechstronnie rozwiniętej spółdzielczości.

To, co przedstawiliśmy powyżej jest wiernym i obiektywnym obrazem poglądów, przekonań i aspiracyj agrarystów. Młody ten ruch, jak już zaznaczyliśmy na wstępie, toruje sobie drogę wśród rzeszy chłopskiej. To, co w ruchu tym jest istotne i żywotne, niewątpliwie zatryumfuje, to zaś, co jest osadem myśli tradycyjno - idealistycznej, odpadnie w drodze doświadczenia.

Henryk Lukrec.

PISMA ZBIOROWE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Instytut Józefa Piłsudskiego, poświęcony badaniu najnowszej historii Polski, przystępuje do ogłoszenia w nowej taniej edycji całej puścizny pisarskiej po pierwszym Marszałku Polski. Wydawnictwo obejmie w ramach 10 tomów wszystkie prace Piłsudskiego. Tom I ukaże się dn. 1.IV. r. b. Następne w odstępach miesięcznych. Wobec prób, jakie pewne koła wsteczne, obce tradycjom naszych walk o niepodległość, podejmują, aby zapuścić zasłonę na okres miniony i na wielką naukę dziejową, która jest w nim zawarta, rozpowszechnienie pism Józefa Piłsudskiego w jak najszerszym zasięgu w chwili obecnej uważać należy za inicjatywę szczególnej cenną i doniosłą.

KAZIMIERZ TETMAJER

(50-letni JUBILEUSZ POETY)

Kiedy przed pięćdziesięciu laty Kazimierz Tetmajer ujrzał w druku pierwsze swoje prace, poezja polska znajdowała się w stanie głębokiego uśpienia. Żyli jeszcze wówczas i tworzyli: Asnyk, Konopnicka, Gomulicki, lecz twórczość ich nie entuzjazmowała już ogółu. Asnyk coraz głębiej zatapiał się w refleksji filozoficznej, która gasiła żywe do niedawna barwy jego wyobraźni; Konopnicka, jeden z największych naszych talentów poetyckich, zupełnie atoli pozbawiona jako twórca mocnej, zdecydowanej, zwartej a swojej własnej osobowości, — po długim błąkaniu się wśród dzieł wielkich swoich poprzedników, znalazła wreszcie ukojenie dla serca i twórczości w oparciu o duszę prostego człowieka i dziecka. Lecz stworzone na tym tle utwory miały i musiały mieć ograniczony zakres wpływów: czytano je, chwalono i... przechodzono nad nimi do porządku dziennego. Trzeci z plejady — Gomulicki — cyzelował jeszcze od czasu do czasu misterne swoje cuda, niezbyt dobrze wiedząc, jaką napełnić je treścią; rozpraszał pozatym swój talent na zarobkową pracę dziennikarską i felietonowe gawędziarstwo. Było, słowem, tak cicho na Parnasie, że w jednym ze sprawozdań rocznych uznano za najwybitniejszą pozycję za ubiegłe dwanaście miesięcy jakiś sentymentalny wierszyk Or-Ota. To chyba wystarczy...

W takiej to chwili poetyckiego bezkrólewia pojawiły się pierwsze tomiki poezji Tetmajera. Uderzało w nich wszystko: nowy duch i nowa forma, a nawet nowy język. Młody poeta nie miał w sobie nic z wieszczego namaszczenia ani stylizowanej na ludowość naiwności — rzeczy do owego momentu obowiązujących u nas każdego rymopisa. Atmosfera jego poezji była zgęszczona, parna, przesycona elektrycznością, jak chwila ciszy przed burzą. „Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie", z dodatkiem rodzimej słowiańskiej rzewności i tęsknoty, a obok tego coś drażniącego, niepokojącego, coś jak rozpalone tchnienie pustyni u stóp Libanu... Z dna owych „preludiów" i „zamyśleń", tak czystych tak przezroczych, jak szyba górskiego jeziora, unosił się opar ciężki, duszący, mroczący zmysły, jakby do dźwięków gęśli słowiańskiej wdarł się nagle jaskrawy krzyk zmysłowego pożądania Salomonowej pieśni nad pieśniami. Był to ton nowy w tej naszej tak dziewiczej tak klasztornie skromnej erotyce polskiej. „Miłości moje jako próchna świecą, A nigdy krew się w marach nie zapali", powiedział koryfeusz — Słowacki, a następcy jego pozostali wierni nakazowi mistrza. Nasze Aldony, Maryle i Aniele miały tylko wyobraźnię i serce, głowę i biust: reszta tonęła w mgłach tiulu i gazy. Tetmajer pierwszy wybił ścianę w tej szklanej cieplarni i wpuścił prąd świeżego powietrza: wywołało to zgorszenie u jednych, zapał u innych. Poeta wszedł w kurs, — temperament poraz pierwszy w poezji polskiej pełnym przemówił głosem...

***

Chwila wystąpienia Tetmajera była okresem ciszy i zastoju nie tylko w poezji. Ucichły mordercze walki pozytywistów z epigonami romantyzmu, oschła ziemia z potoków przelanego atramentu. Bój zakończył się kompromisem: konserwatyzm wegietował obok bardzo umiarkowanego postępu, staromodny idealizm z nader w polskim klimacie złagodzonym materializmem mieszkały tuż o ścianę, trochę tylko bocząc się na siebie. Poezja i proza „krzepiła dusze": nie rozdrapywano ran, lękając się nawrotu choroby, poprzestano na zalepianiu ich plasterkiem i stosowaniu środków znieczulających. Tu i owdzie odzywał się protest, mocne stanowcze „liberum veto": takim protestem była „Lalka" Prusa. Wrażenie było silne, lecz krótkotrwałe: drzemiący pacjent drgnął, zbudził się na chwilę i znów bezwładnie opadł na poduszki. „Nie nękaj", wołano na śmiałka, tacy jesteśmy słabi i wyczerpani... Pozwól nam pospać jeszcze godzinkę!" Zacna Orzeszkowa, chcąc zbudzić drzemiące uczucia i nadzieje, stworzyła swoją sielankę nadniemeńską, istną „wyspę ideału, przerżniętą rzeką łez". Książkę zaczytano na śmierć i natychmiast zabito ją określeniem: „poezja"! Poezja, — a więc coś nierealnego, nie z tego świata, coś, czym nie może i nie powinien zajmować się dobrze wychowany, trzeźwy Polak popowstaniowego okresu...

I wtedy naraz przemówiły dwa silne głosy: zjawili się Żeromski i Tetmajer. „Siłaczka", „Dr. Piotr" „Bezdomni" stanęli przed oczyma ogółu na świadectwo, że nie każda dysharmonia kończy się harmonijnym akordem, że są w życiu konflikty nierozwiązalne i że, owszem, takie tylko konflikty ciekawe są i istotne. Moment, kiedy dusza ludzka staje przed obliczem przeznaczenia naga i bezbronna, zdana na łaskę i niełaskę losu, moment, znany dotychczas conajwyżej teoretycznie, ukazał się obecnie wcielony w dotykalny, plastyczny kształt dzieła sztuki. Potężny podmuch jesiennego wichru wyrwał okno, gasząc wszystkie światła: wrażenie było niesamowite — sumienie społeczne drgnęło...

Tetmajer wystąpił do akcji bez wyraźnych, skrystalizowanych ideałów społeczno - politycznych. Indywidualista i egoista nawskroś nic nie miał w sobie z trybuna lub proroka. Lecz był to indywidualizm jednostki mocnej, bogato od natury uposażonej, torującej sobie drogę przebojem. Powierzchowny nawet obserwator mógł przewidzieć, że pieśń, która z tego wypłynie serca, nie zabrzmi unisono ze „skomleniem mieszczańskich drumli", rozlegającym się w zaciszy ówczesnego bytowania. Serce spragnione wielkiej miłości, temperament, rwący się do wyżycia, ognista, bogata wyobraźnia, szukały oszołomienia i ukoju w doświadczeniach erotycznych. Po posadzce wyrywających sobie z rąk do rąk modnego poetę saloników warszawskich, Tetmajer stąpał, jak barbarzyńca: budził podziw, uwielbienie, lecz i przerażał zarazem: z postaci jego biła moc żywiołu, — w granicie wyczuwało się obecność ognia. Dobrze wychowane panienki warszawskie i ich szanujące się mamusie z pewnym niepokojem patrzyły na tego górskiego ptaka, gotowego wbrew przepisom dobrego tonu rozpostrzeć nagle skrzydła i odlecieć. I istotnie odleciał: kiedy z zaciekawieniem oczekiwano któregoś tam z rzędu tomiku Tetmaje-

ra, czy może jakiejś nowej jego powieści w odcinku kurierka, on nagle ukazał się aż na drugim końcu Polski u stóp Tatr i zaczął rzucać zdumionej publiczności mocne, zwarte, twarde jak bryły granitu opowieści o przeszłości skalnego Podhala. Świetny liryk przeistoczył się w wielkiego epika. Żądza miłości znalazła nareszcie swój przedmiot: był nim, jak niegdyś u Mickiewicza „kraj lat dziecinnych".

***

Wspomnieliśmy o Mickiewiczu rozmyślnie. Sposób podejścia do tematu u obu poetów jest jednaki: obaj posiadają pełnię świadomości, że przedmiot ich ukochany zapada beznadziejnie w przeszłość, że wschodzące słońce nie ujrzy już przy życiu ani Soplicowa, ani Zbójeckiego Gronika. Słowo: „ostatni" brzmi jak refren żałobny na każdej karcie „Pana Tadeusza"; słowa tego rzadko używa Tetmajer, lecz bije ono jak dzwon pogrzebowy gdzieś tam w głębi duszy twórcy i czytelnik, słyszy wyraźnie jego echo. Świat Mardutów, Sablików, Janosików, Wojtków Chrońców ginie bez ratunku i nic go ocalić nie zdoła: poeta tylko czarodziejstwem swej sztuki zdoła zachować na wieki jego rysy ukochane; poczem wieko trumny zatrzaśnie się i ohyda spustoszenia rozpleni się na miejscu niegdyś świętym. Pisząc „Skalne Podhale", autor niewątpliwie miał słuszne poczucie, że spełnia jakąś ofiarę sakralną...

W stosunku do Mickiewicza — Tetmajer jest schyłkowcem. W duszy twórcy „Pana Tadeusza", gdy pisał swój poemat, rodziły się już gwiazdy nowych idei, nowych nadziei. Tetmajer płynie na ostatniej fali romantyzmu. Pomiędzy nim a ludźmi trzydziestego roku zieje przepaść, wypełniona krwią i łzami: rok 46, rok 63, hasło siły przed prawem zwycięsko w czyn wcielone, wszystkie wielkie i szlachetne idee zabite, zdeptane, oplwane, przepalone w proch jadem życiowego i filozoficznego materializmu. Żadnej na przyszłość nadziei — i stąd ten ton posępnego przygnębienia, jaki nas ogarnia przy czytaniu podhalańskiej epopei.

I jeszcze jedna myśl błyska w mózgu uważnego czytelnika... Jakichże to cudów byłyby świadkami dzieje, gdyby znalazł się ktoś, ktoby umiał zapalić te mocne, żywiołowe postacie ogniem wielkiej idei i rzucić je jak miecz Brennusa, na szalę wypadków? Lecz, niestety, ten ktoś nie znalazł się — i jest to najsmutniejszy akord Tetmajerowej pieśni...

W literaturze świata posiada Tetmajer blizkiego krewniaka, omal nie sobowtóra: jest nim Alfred de Musset. Obaj są indywidualistami i egotykami, obaj nie czują związku z wielkim ruchem mas, prących do przyszłości. Lecz Musset, ten, (jak go nazwał zapomniany niesłusznie nasz poeta — Miron), „melancholicznych milioner myśli", był Francuzem, a więc istotą zdolną do życia i trwania w stanie sceptycznego pesymizmu. Stargawszy siły swe i talent „w marmurowym uścisku Aspazji ulicznych", zamyka historję swej przeszłości w okrzyku „J'ai perdu ma force et ma vie!" i wegietuje jeszcze lat kilkanaście w cieniu swej dawnej sławy, wywołując z ust Heinego słuszny lecz okrutny osąd: „Jest to człowiek, który ma wielką przeszłość przed sobą"... Tetmajer nie mógł, nie chciał zatrzymać się na przeczeniu. Zrażony do chwili obecnej, pozbawiony światła, rozpraszającego mroki przyszłości cofnął się w przeszłość i tam znalazł ostoję dla swej wiary w życie. Albowiem, pomimo grubych mgieł melancholii, osnuwających opowieści podhalańskie, bije z nich przeświadczenie, że moc i żywotność ich bohaterów, są jeno poszczególnym przejawem potęgi duchowej całego narodu, potęgi, która, prędzej lub później, wydobędzie się z ukrycia i wyżłobi sobie odpowiednie łożysko. Ta myśl sprawia, że utwór Tetmajera jest nie tylko znakomitym dziełem sztuki, lecz i doniosłym czynem społecznym.

Dr. Tadeusz Stępniewski.

VOTUM NIEUFNOŚCI DLA ADWOKATURY

Na powierzchnię życia prawniczego wypłynęły ostatnio dwa projekty nowel ustawodawczych: projekt ustroju adwokatury oraz nowela do Kodeksu Postępowania Karnego. Obie te reformy, sięgające do dwóch odmiennych dziedzin prawodawstwa, mają dużo wspólnych cech, zbiegając się ze sobą w jednym węzłowym punkcie i zdradzają jedną pokrewną ideę, która w okresie ostatniej doby przyświcca myśli prawodawczej. Błysk tego światła padł przed laty na forum dyskusji prawniczej w postaci popularnego „pro societate", a szary cień, jaki tym tendencjom w niektórych prawodawstwach bliskiego Wschodu i Zachodu towarzyszv, wypełza po za granice swego panowania i przedostaje się do świata ogólnych teorii prawnych.

Pokrewieństwo obydwóch projektowanych u nas reform wyraża się w stosunku prawodawcy do roli oskarżonego w procesie oraz do znaczenia i uprawnień obrońcy.

W miarę ograniczeń przywilejów oskarżonego w procesie, staje się bardziej rygorystycznym i negatywnym stosunek do adwokatury pod wpływem szerzących się poglądów na jej zbędność, a nawet szkodliwość. W tych państwach, gdzie wymiar sprawiedliwości rządzi się „poczuciem prawnym społeczeństwa, narodu, państwa" lub innymi totalnymi hasłami w miejsce zasady „nulllum crimen i nulla poena sine lege" — rola adwokatury spada do poziomu niezmiernie nikłego.

Echo „poczucia prawnego" rozlega się i w projektowanej noweli do Kodeksu postępowania Karnego, wprawdzie nie w wyrokowaniu, lecz przy stosowaniu środków zapobiegawczych, co utorować może drogę do tych niebezpiecznych teorii w następstwie również i w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości.

Rozszerzenie w projekcie noweli — możliwości aresztowania podejrzanego o popełnienie przestępstwa w zaraniu śledztwa i dochodzenia z powodu „obrazy poczucia prawnego społeczeństwa", stanowi poważne zagrożenie wolności ludzkiej, w trosce i walce o którą obrona była stopniowo ograniczana, jeśli wspomnimy chociażby uchylenie dawnego przepisu o występowaniu adwokata na jawnym posiedzeniu w 2-ej instancji ze skargą na zaaresztowanie.

Zasadniczą zmianę dotychczasowego Kodeksu Postępowania Karnego stanowi „reformatio in pejus". Na wypadek założenia apelacji przez oskarżonego lub obronę, Sąd będzie miał prawo podwyższyć karę.

I tu, na wstępie już — uderza nierówność stron w procesie: oskarżyciela i obrońcy, oraz rażące pomniejszenie wagi i znaczenia obrony w przeciwstawieniu do roli oskarżyciela publicznego. Obawa przed powiększeniem kary oraz odpowiedzialność przed klientem powstrzyma obrońcę od założenia apelacji i wtedy, kiedy przeświadczony on będzie o niesłusznym wyroku, natomiast w razie apelacji prokuratora, domagającego się powiększenia kary, Sąd do obniżenia tej kary nie będzie uprawniony.

Jak tedy wygląda „realizowanie prawdy materialnej", „petrifikowanie łamania prawa", „skrepowanie Sądu" — na co powołuje się prawodawca, uzasadniając potrzebę pozbawienia oskarżonego przywileju, polegającego na niemożności powiększenia kary przez Sąd Apelacyjny?

Przy założeniu apelacji przez obronę — kontrola nad wymiarem sprawiedliwości w płaszczyźnie równowagi pomiędzy tym wymiarem, a interesem oskarżenia publicznego przechodzi z prokuratora na Sąd, albowiem obowiązkiem prokuratora jest baczenie, by oskarżenie znalazło swój odpowiednik i miarę w wyroku sądowym. Kontrola tym razem zresztą przypadkowa, gdyż zależna od wypadków zaskarżenia wyroku przez obronę, wypadków, które będą coraz rzadsze wskutek zagrożenia zwiększenia kary.

Przyjęcie przez Sąd funkcyj, przydzielonych w organizacji władz sądowych oskarżycielowi publicznemu, zbliża ustrój sądownictwa do ustroju sądowego z epoki średniowiecza, kiedy to w przeciwstawieniu do zasad procesu rzymskiego-skargowego — oskarżenie należało do prerogatywy sędziego wyrokującego.

Przekazanie spraw w Sądzie Najwyższym posiedzenia niejawne bez udziału adwokata i jednoczesne wprowadzenie grzywien na adwokata (do 1000 zł.) za sporządzenie lekkomyślnych kasacyi, burzy dalsze przęsło, którymi do tej pory spięty był w ustawodawstwie most pomiędzy wymiarem sprawiedliwości a jednym z organów tego wymiaru: obroną w procesie.

Równolegle do tej linii poglądów na rolę oskarżonego i jego obrońcy w procesie, układa się na tej samej pochyłej płaszczyźnie stosunek do adwokatury. Projekt reformy prawa o ustroju adwokatury zaznaczył się dobitnym ograniczeniem autonomii adwokackiej.

Ingerencja władz do wewnętrznego życia adwokatury rozszerza się coraz więcej. Cały dział w postępowaniu dyscyplinarnym, należący do niedawna do zakresu działania Sądów dyscyplinarnych, złożonych wyłącznie z adwokatów, którzy sądzili swoich kolegów za przewinienie przeciwko etyce zawodowej, przechodzi obecnie do Izby Adwokatów przy Sądzie, gdzie przeważa element sędziowski. Na pierwszy plan wysuwa się nadzór prokuratora w miejsce rzecznika dyscyplinarnego— adwokata.

Nie brak zaufania do magistratury,lecz wymóg znajomości życia korporacyjnego i niebezpieczeństwo niesłusznych sądów napawa adwokaturę troską o byt korporacji.

Podział przewinień dyscyplinarnych na wykroczenia i występki, którego dotychczasowe prawo o ustroju adwokatury nie znało, z wyszczególnieniem czynów, występki te zawierających: 1) naruszenie interesów Państwa lub Narodu Polskiego, a w szczególności wymiaru sprawiedliwości... 2) naruszenie interesu materialnego innej osoby, co również obce było dotychczasowej ustawie adwokackiej, gdyż wyliczenie to było zbędne ze względu na to, że postulaty te natury ogólno-etycznej mieściły się i nadal się mieszczą w dziale, traktującym o obowiązkach adwokatów, oraz przekazanie spraw tej kategorii Izbie Adwokatów przy Sądzie Najwyższym w miejsce Naczelnej Rady Adwokackiej stanowi poważne ograniczenie praw Samorządu Adwokackiego. Zwłaszcza niepewny grunt stwarza domena interesów wymiaru sprawiedliwości, oddana (w szczególności) pod opiekę magistratury, które ma tych interesów bronić przed naruszeniem ich przez adwokatów.

Należy wątpić, czy słuszne jest i sprawiedliwe to votum nieufności dla adwokatury w postaci wyjęcia spod jurysdykcji Sądów Dyscyplinarnych szeregu spraw adwokackich ze wzmocnieniem czynnika prokuratorskiego w tych sprawach.

Dwie reformy: Kodeksu Postępowania Karnego i Prawa o Ustroju Adwokatury. Obie nacechowane pomniejszeniem znaczenia obrony. Dwie nowele — jedna miara.

Aleksander Margolis.

A JEDNAK COŚ SIĘ ZMIENIŁO

Dzienniki, bezpośrednio służące sferom gospodarczym i wielkoziemiańskim, lub od nich pośrednio uzależnione, wystąpiły ze znamiennym protestem: nie podoba się im to, że w Polsce zaczęło się zbyt wiele mówić o potrzebie postępu gospodarczego, o reformie rolnej i konieczności reform społecznych, ba! — o herezjo! — nawet o podstawowej przebudowie całego ustroju naszego życia w duchu przystosowania jego norm do wymagań świata pracy. Nie podobają się im próby odnowienia życia, więc chciałyby to życie zamurować, zamknąć w formach dotychczasowych, jak akcje w kasie ogniotrwałej.

— Nic nie tykać! Niczego nie zmieniać! Zostawić wszystko po dawnemu! Niechaj będzie nadal, jak bywało! — oto hasła, pod którymi pragnęłyby żeglować w przyszłości sfery, skupiające w swych rękach najważniejsze środki i źródła wytwórczości.

Nic nie zmieniać? Jakże dziwny to nakaz w dobie dziejowej, która odmienia, dynamizuje i przekształca wszystko!

Spójrzmy, istotnie, poza siebie w głąb lat kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu: niepohamowany pęd odkryć i wynalazków przeorał świat tak głęboko, że pradziadowie nasi, gdyby wrócili do życia, nieledwie odnieśli by wrażenie, że wracają na inną planetę: dynamo, elektro - metalurgia, elektro - chemia, nafta i jej wytwory pochodne, telefon, fonograf, radio, kino, samochód, żegluga napowietrzna, żegluga podwodna; a obok tego — żelbeton, ogrzewanie centralne, powietrze skroplone, maszyna rotacyjna, maszyna do pisania i liczenia; dalej zaś — jedwab sztuczny, nawozy azotowe, barwniki anilinowe, bakteriologia, antyseptyka... Ten długi poczet daleki jest od wyczerpania. Każdy może dowolnie podłużać go i uzupełniać.

Słowem: od czasów Napoleona do dni teraźniejszych ludzkość zdobyła odkryć i wynalazków więcej, niż od początków chrześcijaństwa do Napoleona.

I oto, w obliczu tak kolosalnych zmian w wymiarze i sposobie wytwórczości tudzież wymiany dóbr, spotykamy ludzi, którzy wmawiają w nas, że stosunki społeczne żadnym odmianom nie ulegają i ulegać nie powinny Że zysk kapitalistyczny i obszarnika ma pozostawać i nadal najwyższym regulatorem życia!

Czy można bardziej zaprzeczać faktom? Ależ, szanowni panowie, skoro nie liczycie się z dorobkiem umiejętności i techniki, odwołajcie się choćby do własnych wspomnień!

Jeszcze nie dawno, jeszcze w pierwszym dziesięcioleciu bieżącego stulecia, Polak, który (np. w b. Galicji) wybierał karierę urzędniczą, uchodził za istotę małej ambicji i skromnych wymagań; za człowieka, żądnego przede wszystkim wczesnego dosłużenia się ubożuchnej emerytury. Ileż docinków i złośliwostek spadało na głowę takiego skromnego jegomościa, zwłaszcza od chwili, gdy zawinąwszy do swej emerytalnej przystani, mógł oddać się spokojnym wczasom.

Podobnie ujemny i wzgardliwy bywał stosunek do dzieci rodzin zamożnych, które, osiągnąwszy dojrzałość i właściwe kwalifikacje, nie kwapiły się do samodzielnego zarobku.

— Patrzcie! — sarkano pół-nienawistnie, półzgryźliwie: — Dziewki zdrowe, jak łanie, a nie wstydzą się jeść darmo chleb u rodziców. Nie mogłyby to wziąć się do pracy i zarabiać, zamiast gnuśnie czekać na męża?

Tak było niegdyś. A dzisiaj? Oh, dzisiaj stosunki się odwróciły...

Urzędnikowi, który wycofa się na spoczynek, choćby najwcześniej, nikt nie czyni dziś wyrzutu, że ręce zakłada bezczynnie. Jeśli spotyka go wyrzut, to tylko wtenczas, gdy nie chce na swym nędznym dożywociu poprzestać.

— Masz pan rentę i — jeszcze panu mało? Chciałbyś pan chleb zabierać innym?

Pannie zaś, córce zamożnego domu, gdyby zamierzyła szukać zarobku w biurze, w szkole albo w magazynie, zagrodzi drogę czereda dziewcząt bezrobotnych, które nie będą nawet próbowały powściągać swej nienawiści.

— Widzicie burżujkę? Niedość jej, widocznie, frykasów, które ma u rodziców. Chciałaby jeszcze zagarnąć te okruchy chleba, które nas chronią od głodu.

I że te sprzeciwy bezrobotnych nie są pozbawione uzasadnienia, o tym świadczą coraz bardziej mnożące się przepisy, wzbraniające kumulować posady zarobkowe lub sięgać po nie tym, którzy mają zabezpieczenie, skądinąd zapewnione.

Zestawmy teraz te dwa stanowiska, przedzielone rozstępem lat zaledwie kilkunastu! W tym rozstępie czasu musiało jednak zajść coś niezmiernie ważnego. Coś ważnego musiało się zmienić. *Zmienić się musiało coś u samych podstaw życia, skoro człowiek, który nic nie robił, i człowiek, który chce pracować, wydają się nam jednako nienawistni!*

I zmiany, rzeczywiście, zaszły. Zmiany, rzeczywiście, olbrzymie. Zmiany, polegające na tym, że dzięki użyciu i zastosowaniu energii, czerpanej już nie z mięśni ludzkich lub zwierzęcych, lecz wprost z przyrody, praca człowiecza stała się towarem mało poszukiwanym.

Stąd to każdy, kto, mając byt zabezpieczony, sięga mimo to po pracę i zarobek, wydaje nam się przywłaszczycielem, nieledwie rabusiem. Zabiera on bowiem pracę innym, którzy nie mają środków, aby żyć i utrzymać rodzinę.

Jakkolwiek bowiem maszyny, pracując prawie same, wytwarzać mogą obfitość wszystkiego, czego pragniemy; jakkolwiek rola, uprawiana umiejętnie, dostarcza plonów, które uchodzą za nadmierne, człowiek, aby żyć, zmuszony jest zarabiać. Tak, zarabiać pracą, nie mając pewności, czy ją znajdzie; zarabiać pracą w świecie, który pracy tej coraz mniej potrzebuje.

Co za niesłychany paradoks! Uzależnić byt milionów i milionów ludzi od warunku, który zanika; i który zanika właśnie wskutek tego, że świat stał się wytwórnią nieprzebranych bogactw, mogących nadomiar, mnożyć się bez kresu, aż do zaspokojenia wszystkich potrzeb naszych i naszych bliźnich.

Nie znaczy to, rzecz prosta, aby praca ludzka miała zniknąć zupełnie. Ale już wybiła godzina, w której maximum wydajności dla wszystkich daje się osiągnąć przy minimalnym trudzie każdego. A co najciekawsze, to — to, że zawrócić z tej drogi niemożna; chyba, żeby się chciało cofnąć cywilizację!

A. Grot.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

MŁODZIEŻ PRZEDMIEŚCIA*)

Praca A. Oderfeldówny, wydana staraniem Instytutu Spraw Społecznych jest owocem ankiety, przeprowadzonej wśród młodzieży jednego z najuboższych przedmieść Warszawy — Ochoty. „Na tle nijakiego krajobrazu — pisze autorka — nieokreślone domy, w nich nieokreślona ludność o płynnej niewyraźnej jeszcze postawie życiowej. Ludność niejednolita, często o nieokreślonych zmiennych zajęciach obejmuje wszystkie gradacje lumpen proletariatu, proletariatu fabrycznego i proletariatu kołnierzykowego, nie dającego się oddzielić od drobnomieszczaństwa".

Na takim to nieokreślonym, typowo przedmiejskim terenie zebrał Instytut Spraw Społecznych swoją ankietę. Badania miały być możliwie wszechstronne, dać całkowity obraz warunków materialnych i moralnych życia młodzieży, uwidocznić jak na tle tych warunków kształtuje się psychika młodego pokolenia.

Zasięg ankiety ograniczono do nielicznych grup reprezentatywnych. Obejmuje ona niespełna 200 osób w dwóch grupach, wylosowanych z pośród 1) absolwentów szkoły powszechnej (124 osoby) i 2) zarejestrowanych w Sekcji Pomocy Matce i Dziecku przy Ob. Komitecie Pomocy Bezrobotnym (73 osoby). Absolwenci szkół powszechnych to śro-

*) *Anna Oderfeldówna:* „Młodzież przedmieścia". Z badań ankietowych na Ochocie". Wyd.: Instytut Spraw Społecznych Warszawa 1937.

dowisko lepiej sytuowanych rodzin ochockich. Młodzież, pochodząca z rodzin, korzystających z pomocy dla najuboższych, reprezentuje nędzę ochocką. Pomimo niejednolitości środowiska, z którego młodzież ta pochodzi, pomimo pozornie głębokich różnic a nawet antagonizmów pomiędzy bezrobotnymi a pracującymi obraz jej życia jest dość jednolity, jednolicie ponury.

Na dziecko proletariackie wcześnie spadają obowiązki dorosłego człowieka. Często wychodzi ze szkoły dużo przed jej ukończeniem, aby zarabiać na utrzymanie bezrobotnej rodziny. Piętnastolatek jest już uznany za uprawnionego do pracy. Temniemniej nie przestaje być dzieckiem. Dlatego na rynku pracy t. zw. robotnik młodociany jest elementem najbardziej bezbronnym, najwięcej wyzyskiwanym. W książce A. Oderfeldówny nie brak przykładów tej strasznie ciężkiej, 12 i 14-godzinnej pracy młodzieży, pracy, która w najlepszym razie daje 10 — 20 zł. miesięcznie. A czy trzeba przypominać, jak się traktuje tych „chłopców", „gońców", a nawet „uczniów", na których wszyscy dorośli towarzysze pracy wyładowują swój humor i na których karkach odbijają sobie swoją własną krzywdę. Napewno nie należy do wyjątków chłopiec, który według własnych słów po 2 miesiącach pracy zamiast zapłaty (10 zł. mies.) dostał w kark i został wypchnięty za drzwi. „Nie lepiej się dzieje tym, którzy próbują szczęścia w zawodach wolnych, jako gazeciarze i sprzedawcy uliczni. Tutaj czyha na nich śmierć i kalectwo. Biegając po ulicy, wpadają pod tramwaje, samochody. Żadne z ich zajęć nie jest początkiem stałej pracy. Gdy dorastają, usuwa się ich, a na ich miejsce przychodzą nowe dzieci. Młodzież ta przyjmuje za rzecz zupełnie naturalną długi dzień roboczy, niskie zarobki, złe traktowanie. Na to nikt nie narzeka. Nikt sobie nie wyobraża, żeby mogło być inaczej. Młodociana handlarka obwarzanków wpadła pod samochód, uciekając w strachu przed policjantem. Nie na to się skarży, że policjant ją gonił, ale, że teraz nie ma pracy. Gdy pytano młodzież, jaka jest największa niesprawiedliwość na świecie, najczęstsza odpowiedź bywała — brak pracy, że jedni pracują, drudzy nie.

Dzieci bezrobotnych nie kończą szkoły powszechnej. Z pośród 73 dzieci pochodzących z rodzin bezrobotnych tylko 10 skończyło szkołę. Siedmioro ukończyło ją jeszcze wtedy, gdy ojciec pracował, troje dobrnęło do końca tylko dzięki pomocy instytucji społecznej. „Nędza i szkoła nie daje się pogodzić" stwierdza autorka.

16-letni chłopiec streszcza wszystkie swoje radości i smutki życiowe w powiedzeniu, że „zadowolony jest, jak furmani, nieszczęśliwy jak nienajedzony".

Z szeregu zagadnień poruszonych w swej pracy autorka wysuwa na pierwszy plan kwestię natury pedagogicznej. Warunki ekonomiczne uniemożliwiają młodzieży skonstruowanie sobie jakiegokolwiek konsekwentnego planu życiowego. Świadomość, że nie od wysiłku człowieka zależy jego los, ale od niesprawiedliwych i krzywdzących warunków zewnętrznych, paraliżuje wolę i zdolność do czynu. Jakiż plan życiowy może sobie stworzyć młodzieniec, głęboko przeświadczony, że pracą nigdy się nie dorobi, że „ludzie bogacą się tylko oszustwem i podstępem". Warunki ekonomiczne hamują normalny zdrowy rozwój psychiki młodzieży, która gubi się w sprzecznościach otaczającego świata, darmo szuka odpowiedzi na męczące pytania: dlaczego najprostszy obowiązek pracy na siebie i bliskich staje się tak trudny do wykonania, dlaczego żadne ludzkie zalety nie decydują o tym, kto ma pracę i chleb, a kto nie. Podstawy moralne istniejącego ustroju walą się w gruzy. Na obowiązujących kanonach młodzież oprzeć się nie może. Męczy się więc i szuka. Docierają do niej strzępy różnych systemów ideologicznych i społecznych. Z każdego z nich przyswaja sobie to, co jest krytyką obecnych stosunków.

Książka p. Oderfeldówny zawiera materiał bogaty i wszechstronnie oświetla zagadnienie młodzieży; zarówno społecznik i polityk, jak i pedagog znajdzie w niej wiele cennych myśli i wiadomości.

Jadwiga Szymanowska.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

CZY WOLNO?

Po zawieszeniu przez sąd *Dziennika Popularnego*, po rewizjach i aresztowaniach, jakie w związku z tym zawieszeniem nastąpiły, „Prasowa Agencja Antykomunistyczna" rozesłała komunikaty, zamieszczone w licznych dziennikach. O komunikatach tych i o ich zamieszczeniu przez część prasy pisze redaktor *Robotnika*, Mieczysław Niedziałkowski:

„W jaki sposób „Prasowa Agencja Antykomunistyczna" mogła w swoim, powtórzonym skwapliwie przez prasę typu O. N. R. komunikacie, przesądzać wyniki śledztwa, przyczepiać do nazwisk poszczególnych pieczątkę: „komunista" i ogłaszać ten zbiór wulgarnych denuncjacyj przed tym, nim ukazał się — też bardzo wątpliwy pod względem prawnym — komunikat P. A. T.? Co to ma znaczyć? Co to za obyczaje? Biorę przykład stosunkowo „niewinny": tow. Wł. Kaczanowski.

Zatrzymano go, jako się rzekło, przypadkowo. I zwolniono. Ale ta „Agencja" ogłosiła najuroczyściej, że tow. Kaczanowski jest członkiem „komunistycznej" organizacji „Życie" i że znaleziono u niego — podczas rewizji — „literaturę wywrotową". Tymczasem tow. Kaczanowski jest członkiem P. P. S. i żadnej rewizji u niego nie było.

A tow. J. Maliniak? Też miała być „literatura wywrotowa". Pojedyńcze egzemplarze prasy sowieckiej, wydawnictw komunistycznych w Europie Zachodniej i t. d. No, nic dziwnego! Przecie dziennikarze mają prawo korzystać z wszelkich wydawnictw; biblioteka sejmowa posiada pełny bodaj komplet wydawnictw sowieckich; gdyby zrobiono rewizję u mnie, czy u p. Miedzińskiego, czy w biurach p. Koca, toby też znaleziono najprawdopodobniej taką „literaturę wywrotową" w paru nawet egzemplarzach. Przykro mi, ale i ja otrzymuję pocztą odezwy komunistyczne, nieraz po kilka egzemplarzy w jednej kopercie. Niechże „Prasowa Agencja Antykomunistyczna" skorzysta z okazji i... zadenuncjuje.

Przykładów mógłbym przytoczyć więcej. Te wystarczą. I zadaję pytanie:

Czy wolno, czy można pogodzić metody tego rodzaju z honorem dziennikarstwa polskiego?

Czy wolno pismom powtarzać opowieści takiego typu przed ukończeniem śledztwa?".

O metodach tej części prasy, która po zamknięciu *„Dziennika Popularnego"* rozsiewała najfantastyczniejsze wiadomości, b. zastępca naczelnego redaktora tego pisma, Stanisław Dubois w przeprowadzonym z nim wywiadzie *(Głos Powszechny Nr. 38)*, mówi m. in.:

„Metody te są iście niesłychane. Nie dziwi mnie, jeśli na czele tej kampanii stają pisma, znane aż nazbyt dobrze uczciwej opinii publicznej ze swojej „kultury", ze swojej „rycerskości" i z metod swojego działania, ale przykre wrażenie odnoszę, gdy do tej kampanii przyłącza się prasa poważna, uchodząca za uczciwą.

— „Dziennik Popularny" nie był, oczywiście, organem jakiegoś „fołksfrontu", na temat którego ze względów konkurencyjnych i dla nędznej demagogii, rozpisywały się różne „Jutra" i „ABC".

„Dziennik Popularny" był pismem demokratycznym o tendencjach socjalistycznych, którego platforma i stanowisko polityczne należy z całą precyzją określić jedynie na podstawie całokształtu artykułów i notatek, za którego linię brał i bierze odpowiedzialność cały zespół redakcyjny w ogólności, a Norbert Barlicki, jako redaktor naczelny i ja, jako jego zastępca w szczególności.

„Dziennik Popularny" walczył według swego najlepszego przekonania, zgodnie z dążeniami olbrzymiej większości narodu polskiego — o postęp, o pokój, o demokrację, o wolność, o moralne i materialne interesy mas ludowych, o niepodległość naszego kraju, o realizację pełnego zjednoczenia robotników i chłopów w Polsce, o nawrót do tych pięknych tradycyj, jakimi szczyci się po dziś dzień w całym świecie demokracja polska.

Jestem przekonany, że śledztwo wykaże ponad wszelką wątpliwość istotę kłamstwa reakcyjnej prasy brukowej.

Wskażę tylko na takie dziecinne i komiczne poprostu szczegóły, jak opowiadanie „IKC" i niestety „Kuriera Warszawskiego" o udziale jednego z wydawców w jakimś operetkowym komunistycznym... „Komitecie Powodziowym", jak historię o prezesurze (!!!) w Polskiej Partii Komunistycznej na terenie Rosji właśnie w roku 1917, jak jakieś bajeczki melodramatyczne o darciu sztandarów, jak pomawianie o autorstwo pewnych artykułów ludzi, którzy nigdy tych artykułów nie pisali, jak wiązanie znanych i poważanych działaczy PPS i Stronnictwa Ludowego oraz „Wici" z komunizmem, jak przypisywanie komunizmu ludziom, których demokratyczne wyłącznie i pacyfistyczne przekonania są ogółowi od lat znane.

Przecież „Ikac" w pogoni za sensacją, w denuncjatorskim zapale z aptekarza robi adwokata, z Natansona — Kłosa, z dyrektora admin. „Robotnika" — dyrektora drukarni „Dziennika Popularnego", której ten ostatni w ogóle nie posiadał, a która w każdym razie nie mogła się mieścić na ul. Nowy Świat 59, choćby z tego powodu, że żadna drukarnia tam nie mieści się.

Przykładów takich nieścisłości, plotek, fałszywych informacji „wyssanych z palca kaczek" można by przytaczać bez końca".

SADYŚCI I ŚLIMAKI

B. rektor uniwersytetu warszawskiego, senator prof. Mieczysław Michałowicz, w czasie obrad nad preliminarzem budżetowym poświęcił kilka słów tej części młodzieży akademickiej, która urządza na uczelniach wyższych krwawe awantury antyżydowskie.

„Ci młodzieńcy — rzekł — pozbawieni są poczucia prawa, a często i poczucia honoru. Jako biolog, rozumiem antagonizmy rasowe, natomiast jako człowiek nie rozumiem, że 20-tu może się rzucać na jednego, zwłaszcza, jeśli tym jednym jest kobieta. Jest to wyraz tchórzostwa i sadyzmu, bo inaczej tego nazwać nie mogę... Przeważająca większość innej młodzieży jest tylko zdolna do szeptania po kątach, ale nie stać jej na męskie przeciwstawienie się i działanie".

Tę drugą grupę nazwał senator prof. Michałowicz „ślimakami".

Lapidarne to, ale przecież boleśnie bliskie prawdy określenie.

„CHRZEŚCIJANIN — FRANCO"

Pod takim tytułem podaje *Robotnik* za gazetą „Faro de Vigo", drukowaną na obszarze zajętym przez rokoszan hiszpańskich, wiadomość następującą:

„Wczoraj sąd wojenny skazał w postępowaniu doraźnym na śmierć dwóch braci Iglesias i jedną kobietę Elvirę Ledeivo Gonzales za to, że ukrywali poszukiwane przez policję trzy osoby. Braci Iglesias rozstrzelano; kobietę, która jest w ciąży, przewieziono do szpitala, a rozstrzelanie nastąpi po rozwiązaniu"

Bazylejska „Nationalzeitung" pismo raczej konserwatywne, z którego czerpiemy wiadomość powyższą, dodaje taki komentarz:

„Trudno sobie przedstawić, by łaski pełna Madonna, pod której opiekę zaciągnęła się armia gen. Franco, udzieliła błogosławieństwa na tego rodzaju postępek".

ŁAJDACTWO „STUERMERA".

Demokratyczną prasę świata obiegł wstrząsający dokument, rozplakatowany ponadto na murach większych miast we Francji i Ameryce: fotografia dzieci madryckich, uśmierconych bombami powstańczych samolotów.

„Stuermer" organ Juliusza Streichera zamieścił owe fotografie, jako ilustracje artykułu zatytułowanego: „Talmudyści łakną krwi".

Pod fotografią — wyjaśnienie: „Dzieci rodzin nacjonalistycznych zamordowane przez czerwonych".

Czy w cynicznym przeinaczaniu faktów można posunąć się dalej?

NOWE WYDAWNICTWO NAUKOWO-POPULARNE

W Warszawie wydano prospekt nowego wydawnictwa naukowo-popularnego p. n. „Nowa Biblioteka Społeczna". Prospekt ten powiadamia, że od 1 kwietnia będą się ukazywać co miesiąc zeszyty 10-arkuszowe (160 stron), z których każdy zawierać będzie całość lub część dzieła popularno-naukowego ze wszystkich dziedzin wiedzy i sztuki albo poważny reportaż na temat aktualno-społeczny. Wydawnictwo chce być niezależną placówką kulturalno-oświatową, grupującą uczonych i pisarzy polskich, wiernych ideałom postępu i demokracji. Będą też wydawane przekłady dzieł obcych, tak np. wyjdzie przekład I. Huxley'a i A. C. Haddona, książki p. t. „My europejczycy", przekład Guerin Daniela, „Faszyzm a kapitał" i inne. Z rzeczy oryginalnych polskich są projektowane w najbliższym czasie następujące: Stanisława Baczyńskiego (o nowej literaturze rosyjskiej), J. Borejszy („Hiszpania"), prof. Stefana Czarnowskiego (o nacjonaliźmie), Haliny Krahelskiej (o teorii i praktyce ochrony pracy), J. N. Millera (o rozwoju firm literackich na tle przeobrażeń społecznych), prof. Nowakowskiego (o imperializmie), Stanisława Ossowskiego (o sztuce w życiu społecznym), Stefana Rudniańskiego (Szkice z historii wychowania), Adama Próchnika (o Waryńskim i jego epoce) i innych.

W rocznej prenumeracie 12 tomów, czyli 1920 stron druku wyniesie 16 zł. Kwartalnie 3 tomy — 4.50 zł, miesięcznie — 1.75 zł. Prenumerata płatna na P.K.O. Nr. 5422 lub pocztą przekazem pod adresem: Warszawa, Zielna 11, m. 1 „Nowa Biblioteka Społeczna".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu St. B. w B.: Za list bardzo dziękujemy. Numery wysłaliśmy.

Pani Janinie Z. w Łodzi: Brak czasu nie pozwala zająć się oceną tak obszernej pracy, z żalem więc musimy odmówić. Za wyrazy uznania bardzo dziękujemy.

Panu I. G. w Katowicach: List Pana przekazaliśmy autorowi artykułu, prosząc go o udzielenie Panu żądanych informacyj.

Panu J. S. w Katowicach: Tematy te były wyczerpująco i kilkakrotnie omówione w „Epoce". Nie zamierzamy na razie do nich powracać.

Pani Al. K. we Lwowie: Jeżeli sama Pani uznaje, że pismo jest przeznaczone dla inteligentnych czytelników, to jakże można żądać obniżenia poziomu? Raczej przeciwnie: z pożytkiem dla kultury powinno się ludzi zaniedbanych lub apatycznych umysłowo podciągnąć do wyższego poziomu.

Panu St. W. w Krakowie: Nie dla nas.

Panu Wacławowi K. w Toruniu: W następnym n-rze „Epoki".

Pani Wiktorii Z. w Kaliszu: Przesłaliśmy.

Panu Leonowi K. w Grodnie: Nie możemy zamieścić.

Panu Wojciechowi M. w Sosnowcu: Wysyłki pisma nie wstrzymamy.

Pani Janinie G. w Lublinie: Prosimy o nadesłanie rękopisu.

Panu Edwardowi D. w Zawierciu. Dziękujemy.

Panu Kazimierzowi L. w Lublinie: Bardzo cenny materiał. Skorzystamy.

Panu Ryszardowi W. we Lwowie: Dziękujemy serdecznie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Zdzisław Harlender: Czciciele Dadźbóg Swarożyca. Warszawa 1937. Skł. główny w Instytucie Wydaw. „Biblioteka Polska".

Adam Madler: Droga. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa 1937. F. Hoesick.

Tadeusz Hiż: Talent, dziwactwo i coś jeszcze. Tow. Wydaw. „Rój", Warszawa 1937.

F. Funk-Brentano: Odrodzenie. Przełożył dr. Edward Boyé. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień". Warszawa 1937.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na II-gi kwartał 1937 r. Abonentów, którzy nie wpłacili prenumeraty za kwartał ubiegły, prosimy o bezzwłoczne uregulowanie należności, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie im pisma.

Do numeru niniejszego dołącza się przekazy P. K. P.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3591 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.